

ODDRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok III

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 12 stycznia 1947.

Nr 2 (59)

Marian Smereka

Śląskie „rupiecie” i słucki pas

Perspektywa z górą wieku, z jakiej można dzisiaj spojrzeć na pyszną gawędę Henryka Rzewuskiego pt. „Pamiętki Soplicy”, pozwala należycie ocenić wartość kompozycyjną tego utworu, jak i opatrzyć bliższym komentarzem poglądy i stanowisko szlachcica z drugiej połowy osiemnastego stulecia, tak wiernie przez twórcę nowego typu polskiego romansu przedstawione.

Wśród wielu wyłaniających się w tej opowieści problemów, dzisiejszego Ślązaka może zająć szczególnie urywek rozdziału zatytułowanego „Stanisław Rzewuski”, w którym Soplica opowiada o swoim pobycie w miejscowości o niecałej milę od Namysłowa, miasta powiatowego, leżącego na wschód od Wrocławia.

Namysłów rozsiadł się od wieków w północno-wschodniej stronie za t. zw. przesieką, za zwałem pni i ostrokołów przebiegających kiedyś przez puszcę, która dzieliła Śląsk Górny od Średniego, gdy bezleśne okolice wschodnie obydwu krainom pozwalały długi czas po oderwaniu Śląska od Macierzy wiązać się z ziemią krakowską i południowymi terytoriami Wielkopolski. Skoro w 1816 roku Lompa stwierdza żywotność języka polskiego w okolicach Namysłowa, to w czasach przedstawionych przez Rzewuskiego musiał on dominować jeszcze nad niemiecką. Z historii znanym jest fakt, że Namysłów wśród innych miast służył Wrocławcy jako okup, gdy stryj jego Głogowczyk schwytawszy podstępnie więził go w klatce przez pół roku. W okolicach Namysłowa skupił się ruch reformacyjny XVI wieku, a w 1577 roku Konrad Negius z Namysłowa pisze po polsku „Contiones in Evangelia Dominicalia”.

Jak liczni pamiętnikarze siedemnastego wieku z Medekszą, Jerliczem, Ossolińskim i Paskiem na czele odczuli całą odrębność swojej osobistej, narodowej kultury w zetknięciu ze środowiskami sobie nieznanymi, tak Soplica czuje się obco w otoczeniu wyższym od siebie pod wielu względami i dalekim przez swoistą i inną zupełnie formę współżycia towarzyskiego. Oczywiście obiektywizm Rzewuskiego podkreślony przez wydawców i historyków literatury zachwiał się, kiedy przyszło mówić pisarzowi o wartości kultury szlacheckiej, zacofanej w porównaniu z kulturą mieszkańców Śląska. Autor jakby solidaryzował się ze zdaniem fikcyjnego pamiętnikarza, z którego prototypem zetknął się na platformie towarzyskiej w Krakowie kilkanaście lat przed napisaniem „Pamiętek”. Ani cienia satyrycznego tonu, jaki mógłby wytworzyć dystans między „gawędziarzem” i zdeklasowanym hrabią, któremu w braku innych zajęć przyszło się parą piórem. „...cała nasza zabawa — z ludźmi obcować, — peroruje pan Soplica — jeśli się (szlachcie) spostrzeże, że z daleka kurzawa się podnosi, ledwo serce nie wyskoczy z radości, że może ktoś o nim nie zapomni. A kiedy nadzieja nie zawiedzie, to dopiero szczęście! Ugaszczą się łaskawcy, sprowadza się go do stajni, popisuje przed nim pracą swoją, wypije się z nim, a gawędzi się, że ledwo nie płacze przy pożegnaniu”.

Rzewuskiemu niemal całe życie przeszło na gawędzeniu, bo umiłowanie gadulstwa cechowało nie tylko szlachtę. Wszak magnat Radziwiłł, Panie Kochanku, gaduła zawołany, nie tylko głową do miodu imponował masie szlacheckiej, ale i jego koncepta niewybredne wielkie miały wzięcie i Opaliński pod tym względem nie ustąpiłby placu szlachetce, a ta gawędziarska natura zbliżała szlachtę i magnatów do siebie. Często gadulstwo owo przechodzi w burdy i kłótnie, zwłaszcza „kiedy dusza się wylewa i serce do ust się przedziera”.

Trzeba było przysięgi, gdy powierzano jakąś tajemnicę, najczęściej plotkę z za oplotką.

Nic więc dziwnego, że mrukliwy mieszkaniec Śląska, skąpy w słowach i przede wszystkim dobrze je sobie wazący (z dwóch powodów: raz dla umiłowania prawdy, po wtóre z przyczyny posługiwania się dwoma, a czasem trzema językami, co hamowało swadę) nie był dla przybysza z nowogrodzkiego zaścianka bliskim kompanem.

Dziwi pana Soplicę, „jak można takie życie prowadzić, wszystko mieć do przyjęcia ludzi, a nie widzieć ich u siebie. „U nas by obywatel zwędził się z nudów, a on (Ślązak) się nie nudził, bo miał wielką bibliotekę i różnego gatunku zbiory. To jakieś kwiatki zasuszone w papierze, to robaczki, szpilkami pokłute, to muszle rozmaitego kształtu, to kruszce wszystkie, jakie tylko są na świecie, a których nazwiska tak recytuje, jakby litanie do Najświętszej Panny, że ani się zatnie... To kiedy się na pracuje w polu, to te swoje drobiazgi przepatrzy, przeczyści, przekłada — i tak mu czas schodzi... to każdy u nich obywatel ma podobne rupiecie i niemi się bawi, że mu gawędy nie potrzeba.”

Daleki kuzyn sir Rogera, angielskiego gentlemena ze „Spektatora”, pan Soplica popada w podwójną przesadę. Drobną zbior w szlacheckim, czy napół magnackim dworze urasta w jego oczach do olbrzymiego muzeum, gdzie zebrane są osobliwości świata i z drugiej strony uważa je za „rupiecie”, których inaczej użyć się nie da, jak tylko jako zabawkę dziecinną, przekładaną z miejsca na miejsce. Bliższym mu jest człowiek, niż zbiór muzealny, czy książka. I to może był objaw zdrowy, jeśli staniemy na stanowisku, że twórczość literacka jest zawsze rekompensata pewnych niedoborów i anomalii. Zdrowy człowiek żyje, działa, obcuje z ludźmi, a nie pisze, ani też nie zaspokaja głodu wiedzy poznawaniem książek zamiast świata.

Owe „rupiecie” zbierali na Śląsku już od szesnastego wieku i takiemu właśnie śląskiemu zbieraczowi roślin, Andrzejowi Mathiolusowi zawdzięczamy ich opis. Śląskie Towarzystwo we Wrocławiu na dzieśięć lat przed napisaniem przez Rzewuskiego „Pamiętek” było w posiadaniu rękopisu Albertini, śląskiego grzybologa. Z takich zbieraczy zamięłowanych w odkrywaniu prawd z życia owadów wyszedł później ks. Dzierżon, Kopernik ula, jak go powszechnie nazywano, europejska sława.

Działalność naukowa Ślązaków miała ten swoisty aspekt, że nie przyczyniała się do wynarodowienia nawet w wypadku, jak u Dzierżonia, posługiwania się językiem niemieckim, a przyczyniała się do rozszerzenia polskiego imienia na europejskiej arenie. Z drugiej strony wpływy germanizacyjne osłabiały się przez wspólnotę zainteresowań, badania geologiczne, przyrodnicze i geograficzne, które mówiły o całości strukturalnej Śląska i jego zależności gospodarczej od Pomorza. Granica Odry wystąpić musiała już nie jako granica polityczna, lecz geograficzna. Daleko jeszcze wtedy było do hitlerowskiego wynaturzenia nauki. Owszem zdarzały się słowa, jak te profesora wiedeńskiego Nadlera o „opuszczonym ludzie, a jednak tak zrośniętym z sercem narodów sąsiednich,” zaś profesor Schummel z Wrocławia już w 1791 roku wypowiedział znamienity pogląd: „Nie zaczynamyż procesu z polskimi Ślązakami! Bo przed trybunałem historii przegramy go we wszystkich instancjach” (Szramek, op. cit. s. 29).

Obiektywizm naukowy musiał dyktować takie zdania, aż najpierw cesarsko-imperialistyczna polityka Niemiec, a później rasizm hitlerowski nie zepchnęły go do historycznej „rupieciarni”.

„Wynikiem długiej infiltracji czyli mieszaniny narodowej są jednostki nie tylko dwujęzyczne, ale też potrójnego oblicza narodowego, podobne do kamieni granicznych, które z jednej strony noszą znamię polskie, z drugiej niemieckie, albo do gruszy granicznych, które na obie strony rodzą. Nie są to ludzie bez charakteru, lecz ludzie o charakterze granicznym.” (Szramek Emil, Śląsk jako problem socjologiczny, Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku, t. 4, 1934 r., s. 35).

Szereg pisarzy dawniej i bliżej naszym czasem pisało po niemiecku, choć byli polskiego pochodzenia.

Tyle co do określenia przez Soplicę, że Ślązak „mówi trochę po polsku”. Zdanie Szramka i dzisiejszym osiedleńcom, podzielałym w wielu wypadkach sąd Soplicy, należy przytaczać, ilekroć siebie mają za lepszych Polaków od tych ludzi „granicznych”.

W przeciwstawieniu do tamtych śląskich mruków i odludków „szlachcie zajmuje się gospodarstwem, bo tak i Pan Bóg przykazał, aby o dzieciach pamiętać, żeby boso nie chodzili. Ale jak się namozoli, naptu, nadrypci — czemu się rozewrwie? U nas bibliotek nie ma, a choćby i były — czytać, to i rozrywka i trud; a człowiek potrzebuje czystej rozrywki.”

Zasadniczo w tej ocenie szlachcica, jakby przez niego samego wypowiedzianej, nie odbiegł Rzewuski ani od „Chudego Literata” Naruszewicza, ani „Podstolego” Krasickiego, jednak przydał charakterystyce Soplicy rys nowy. Zaakcentował troskę o rodzinę, która zawsze rozgrzeszała sumienie ciemnej szlachty i do dziś dnia jest wspinała tarczą przed zakusami t. zw. oświatowców, którym na argumenty o konieczności dorównania pod względem wykształcenia sąsiadom odpowiada się kontrwywodem o potrzebie owego „tuptania i drypciania” około chleba dla dzieci.

Soplica jedzie na Śląsk, aby „na wołach zarobić” i oczywiście po pokryciu kosztów wywieźć coś do „oporządzenia domu, i żonie kilka niemieckich fraszek”. Reinkarnacja, rzucając uwagę mimochodem i dla żartu, zdaje się być chyba nie tylko filozo-

Perspektywa

Odry

Wszystkie krainy Ziemi Odzyskanych zmieniły w ciągu minionego roku charakter i krajobraz. Wszędzie ruch ludnościowy znormalizował się na tyle, że miasta i osiedla mogą pomyśleć o planowaniu prac, wymagających zgody i współżycia. Co ręka ludzka zniszczyła, rękami ludzkimi zostanie naprawione. W roku minionym ręce ludzkie zrobiły tu tak wiele, że miejscami zmieniły całkowicie krajobraz ziemi.

Pomorze Zachodnie należało obok Warmii i Mazur do najbardziej wycieńczonych działaniami wojennymi regionów. Ci z nas, którzy wędrowali tu półtora roku temu, przypominają sobie, szczególnie w pobliżu rzonych miastach, chaos niemal antyczny. Na niejednym obliczu pokazywała się wówczas niewiara. A jednak, gdy dziś zajeżdżamy na Pomorze Zachodnie, stwierdzamy z radością, że życie normalizuje się tu według tych samych praw, według jakich znormalizowało się na Śląsku. Prawem takim w pierwszym rzędzie jest wiara w polską przyszłość tych ziem. Wiarę tę noszą w sobie wszyscy ci, którzy nie przelatuja przez Ziemię Odzyskaną jak ptaki, ale naprawiają swe domy mieszkalne, zaorują pola, podnoszą wydajność fabryk, uczą w szkołach dzieci, rządzą krajem.

Zbliża się konferencja światowa, która ostatecznie ma załatwić w Europie sprawę niemiecką. Niemcy w obliczu tej konferencji prowadzą politykę dwukierunkową. Z jednej strony starają się być na wspomnianej konferencji reprezentowani przez przedstawicieli partii, z drugiej strony zaś przeprowadzają w radiu i prasie ataki na pozycję, które ich zdaniem jeszcze można choć w części obronić. Taką pozycją wydaje się Niemcom obecna linia graniczna na Zachodzie Polski.

Spójrzmy na Ziemię Odzyskaną, a nabierzemy otuchy. Porozmawiajmy z ludźmi, którzy ziemiom tym zaprzędali już swoją duszę i los. Zrozumiemy, co to jest optymizm, trudny optymizm pracy, optymizm wyrosły z troski, ale już nieugięty. Ten optymizm pracy musi nam wystarczyć jako najlepsza broń, bo niestety zawiódła propaganda nasza o Ziemiach Odzyskanych, o których obcojęzyczne książki na konferencję teraz dopiero są opracowywane, planowane i zamawiane.



Po tamtej stronie Odry, dokąd niesie wzrok żołnierski, leżą Niemcy. Stamtąd idzie nienawiść, tu panuje spokój, pewność i praca.

ficznym wymysłem, lecz oczywistością, kiedy przyglądamy się znowu naszej współczesności.

Na Śląsku Sopotnia zapoznaje się z jednym obywatelem, pochodzącym z jego stron, który zobaczywszy kontusz, sam szuka z nim znajomości. Interesującym jest, skąd Putkamer znalazł się na Śląsku. W czasie reakcji jezuickiej, w okresie panowania sławnego przez Sopotnię Zygmunta III, luteranie mieszkający nad Niemnem wiązali się z innowiercami polskimi z nad Odry. Kluczborek, Byczyna, Brzeg, Namysłów łączą się z Kiejdanami, Wilnem, Brześciem Litewskim i w naszym wypadku z Nowogrodkiem. Na Śląsku rozkwita ewangelicka literatura religijna w języku polskim. Stąd jak i z Królewca rozchodzą się drukowane nowiny religijne.

Stefan Sulima

Wokół dawnej Brunsbergi, której nazwa czerwieni się lub czerni na starych polskich i łacińskich księgach pobożnych, leży kraj zabity tchnieniem wojny. Podobno koło Hławy i w gierdawskim powiecie do niedawna rozciągały się takie same dzikie pola.

Wojna obeszła się z północną Warmią gorzej niż z jakąkolwiek inną połacią kraju. Tu rozegrały się ostatnie rozpaczliwe zapasy. Tu Niemcy ujrzeni się przypierani, a w końcu przyparci do morza. Tutaj zaciśnięły się pancerne cęgi wokół skazanych na zagładę drapieżników niemieckich. W obliczu końca bronili się Niemcy zacięcie. Ludność zażyła grozy wojennej, którą dotąd tylko czarne krzyże niemieckich maszyn wносиły w granice obcych krajów. Wśród potęgającej się grozy przetoczyła się nawałnica wojenna i uniosła ze sobą życie.

Kilometrami nie widać człowieka w okolicach dzisiejszego Braniewa i Fromborka. Samotne domy, rzadko rozsianych osiedli, pełne śladów dawnej zamożności odstraszają zdaleka obspaną łuską dachówek i czernią jam okiennych. Imponujące stodoły i stajnie świecą łatami błękitu, oprawionego w czerwień cegły. Wiatr i smutek opuszczenia gospodarza w pogruchotanych obejściach. Pognięte i pordzewiałe maszyny wrosły bezwładnie w podworce. Systematycznie poogradzane pola wypasu zieją pustką. Grunty orne zarosły dziko pleniącym się zbożem, a jeszcze częściej mlecznym burzanem ostów.

W gęstwinie chwastów słysząc nieustanny szmer. Szeleści zdziczałe zboże, chrzęszczą badyle ostów, a przez zatarte ścieżki i miedze, między splotami łodyg śmigają czarne, ruchliwe cienie i giną w czeluściach niezliczonych gniazd i nor.

Myszy owładnęły dziedzictwem człowieka i tużają się dziełem wojny. Dźwigane przez lata, opustoszałe przez dzień, zniszczone przez chwilę prace ludzkich rąk, jak trup, obsiadły prze: robactwo, znikają szybko i zmieniają się w nicosć.

Uparty osadnik wileński czy wołyński rozpoczyna gospodarke od wojny z myszami. Zwykły kij jest jego śmiercionośną bronią. Koleinami, żłobionymi przez plug, kroczy rodzina osadnicza i młóci miarowo w rozkuwaną z pęt chwastów glebę. Setkami i tysiącami padają rozpanoszone gryzonie. Każdy cios jest śmiertelny. Każdy rozciąga czarne lub bure stworzonko, które nie ma na tej ziemi nic z Disneyowskiej niewinności.

Zaludnienie idzie powoli, ale systematycznie. Doświadczenia z t. zw. osadnikami skłaniają władze do obrony pustyni przed niepowołanym szkodnikiem. Na 16 wsi gminy fromborskiej późnym latem tylko 6 miało jaką taką obsadę. Do reszty zamierzano dopuścić tylko ludzi z prawdziwego zdarzenia. Dlatego wiele domów czekało jeszcze na właścicieli, a obok polnych drózek spotykało się w jamach, niepokojone przez żywych, kościotrupy w stalowych hełmach, zaciskające kurczowo piszczel wokół porzeczkowej broni.

Ziemia braniewska czekała na polską falę powrotną, która przed wiekiem odpłynęła stąd na południe. A pragnieniem jej było, by nowy polski człowiek okazał się godny jej przeszłości.

Już po rozbiorach północna Warmia przeżyła coś w rodzaju obecnego opuszczenia, jakkolwiek na nieporównanie mniejszą skalę. Kiedyś nie Olsztyn, ale Licbark i Brunsbergi były centrami żywotnymi warmińskiego regionu. Rezydencja książąt biskupów skupiała nic: administracji kraju, jaśniała od blasków dworu lenników duchowych Polski. Brunsbergi świeciła z nad morza jako ognisko kultury i cywilizacji polskiej, od którego grzał się cały kraj. Tu znajdowały się tłocznie drukarskie, słynne kolegium jezuickie, fundowane jeszcze przez Hozjusza, stąd promieniowały wpływy intelektualne dla zaspokojenia duchowych potrzeb warmińskich.

Czymże mógł pan Sopotnia zaimponować swojemu „krajanowi”? Tylko „porządnym ubraniem i pasem litym“. I kiedy Putkamer dyskretnie się przymawia o kupno (sic!) takiego szlacheckiego, „porządnego“ ubioru na pamiątkę (sic!), Sopotnię ruszyła ambicja i oświadcza, że „nie tandetnik aby ubiór sprzedawał“. „A chociaż pas słucki do tysiąca złotych mnie kosztował, rad byłem go przekonać, że kiedy potrzeba, to my się nie rachujemy i że darmo jego chleba nie jadłem“. Putkamer znał się na rzeczy i odplacił się... dwunastu krowami i buhajem.

Tym jednak nie zaimponował Sopotnicy. Nie zachwyciły go zbiory, ani biblioteka, czy wspaniałe, jak pałace budynki gospodarcze, dopiero biblijna poządliwość oczu, jaką zgrzeszył Putkamer na widok słuckiego pasa, otworzyła Sopotnicy serce na oścież. Przecie to swój człowiek! Za ubiór szlachecki, za pas w radziwiłłowskim słucku wyrabiany, w którym jeden dzień paradował, aby złożyć go później na pamiątkę, gotów oddać połowę swego majątku. Mógł taki pas dostać i w Krakowie, gdzie w osiemnastym wieku były trzy fabryki pasów, wolał jednak słucki, bo przypominał mu rodzinne strony.

Z tym pasem związane były i osobiste wspomnienia Rzewuskiego. Jego pierwszy nauczyciel tak był do pasa przyzwyczajony, że nie usnąłby, gdyby sobie ręcznikiem brzucha nie owiwał. Kiedy Henryk zapadł na zdrowiu, uważano, że powodem choroby było zdjęcie stroju staropolskiego i pasa. W czasie zabawy syn Mateusza Radziwiłła zdjął Henrykowi pas, którego przyzwyczaił.

Pierwszy rozbiór zagaszył blask świetności warmińskiej. Barbarzyński, prusacki prymityw i obcy drill nie mieściły się w wychuchanych ramach, pozostałych po polskim władztwie. Jak dziś, na oczach jednego pokolenia, puls życia miasteczek północnej Warmii osłabił, niby u chorego człowieka. Zniknęła świetność. Przez całe pokolenia ludność tego kraju wstrzymała się w ličebnym rozwoju. Miasteczka zasklepiły się w ramach skromnych, pojedynczych tysięcy dusz, spauperyzowały gospodarczo i podupadły. Z biegiem czasu pozostały tu jedynie świetne kamienie, opustoszałe mieszkanki ducha, który uleciał, wygnany na jeźdźcą dłoń. Nic się tu nie zmieniło. Co najwyżej mieszcuchy niemieckie, dziwne tu sentymentalne, przefasonowały barokowe szczyty na modniejszy empire.

Z upadkiem ekonomicznym i kulturalnym poszedł i odpływ polskości. Słabo osiadła ludność ciążyła do kwitnących miast i skupiała się wokół certrów życia. Gdy ich brakło, zaczęła się ugiąć pod naciskiem warunków i niemiecką przemocą. W XIX wieku granica etnograficzna polsko-niemiecka zesła poniżej Bartoszy, Osny i Licbarka i oparła się o Łynę. Piękna, archaiczna gwara śląska przez jakiś czas powstrzymywała fale zalewu, póki nie runął łyński front i germanizacja nie podeszła omal pod Olsztyn. Ten stał się w połowie wieku nową stolicą, centralnym punktem oporu dla cofającej się pod działaniem północnego łoka, ściekającej ku południowi polskości.

czajeni do obcego stroju słudzy zawiązać nie mogli, ten uciekł w krzaki i za żadne skarby nie chciał się do stołu.

„Pamiętki Sopotnicy“ to taki pas wzorzysty, wielostronny solidnej i wprawnej roboty, a motyw śląski przewinął się na nim wcale ciekawie, jednak mimo wartości kompozycyjnej pozostaje już do dziś jako zabytek literacki, właśnie jak zabytkiem jest ów słucki pas.

Zabytkiem kultury Śląska są i te „rupiecie“, ale gdy tradycja szlachecka odżyła już nie potrafi, choć w wielu wypadkach nad polską rzeczywistością ciąży właśnie w tendencji przekładania splendoru nad istotną wartość, to prace śląskich epigonów nauki dziś szczególnie zyskują coraz więcej blasku.

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (11)

Zywe kamienie

Kraj kwitnął pod rządami Licbarka sielski i anielski. Jeśli wstrząsały nim jakie burze, to były to tylko najazdy krzyżackie Albrechta, a potem inwazje szwedzkie i ślepe, nieuchronne tchnienia zaraz. Odbudowywał się po nich szybko i życie nabierało znowu rumieńców. Panowała zamożność i dosyt, swoboda obywatelska i spokój, wsparte o nad wyraz łagodną politykę fiskalną — z gruntu odmienną od krzyżackich czy hohenzollernowskich wzorów.

Przeciw protestanckim miastom niemieckim sprowadzali biskupi lud polski ze Śląska, Pomorza, Poznańskiego i spod Krakowa. Otaczali opieką i wzmacniali, jakby zadość czyniąc sprawiedliwości wobec wyciętych tu bezlitośnie dawnych autochtonów.

Rozmaite kształtem szczyty miniaturowych kamieniczek baroku pozostały po tym złotym okresie księstwa warmińskiego. Łagodny polski klimat duchowy sprzyjał kupieniu się ich w malownicze uliczki, w rozległe stylowe dziełnice, odbijał w sentymentalizmie filuternych facjatek i zaciśniętym półmroku rynkowych podcieni. Duch zrozumienia dla potrzeb życiowych człowieka ożywił miasteczka warmińskie. Pokrył krzyżackie kościoły i zamczyska, łagodząc surowość, miękkością barokowych przybudówek, przybrał bielą i złotem, kontrastującymi z czerwienią budowli krzyżackich. Nadał obliczu kraju swoiste, niezatarte piętno. Stał się duchem czasu.

Jan Sztudynger

Biała Pani z Wrocławia

Czy widzisz w mleku księżycowym,
Jak się przemyla biała pani...
Przed zwiędłym liściem chyli głowy
W zwiędłym szeleście jasných tkanin.

Na rękę dziecko drobne trzyma,
W usta mu kładąc srebrną sutkę.
I pękiem kluczy, których nie ma,
Otwiera wciąż tę samą kłódkę.

Daremnie ludzie zamykają
Na cztery spusty dom i duszę,
Daremnie burmistrz drży, jak zając
Skrobiąc się w głowy zwiędłą gruszkę.

Daremnie pani burmistrzowa,
W spodnicę białą głowę chowa,
Daremnie truje się aptekarz,
I ty daremnie jej uciekasz.

Ballada o Chojnastach

Kiedy wychylišz oczy z blanków
I spojrzysz w niebo granatowe,
Urzecz cię chmur białą pianką,
O Kunegundzie ci opowie.

Nie chciała Niemców za kochanków,
Chociaż ich w koło było mrowie,
Wołała cichy chłód poranków,
Gdy w koło złoci się listkowie.

Nie była straszna ni okrutna,
Ale jesienią złota... smutna.
W przepaść walili się rycerze,
Jak opadają teraz liście,
Aż doczekała kasztelanica
Na woję Polan późne przyjsięcie.
Oparła łątom się uroda,
I piękna była, choć niemłoda,
A serce zachowała święte
Na powiew szczęścia niezamknięte.

Lecz rycerz młody był i pusty
Nieczuły na jesieni wiosnę
Dostrzegłszy zmarszczkę w kącie ustek
Wstrzymał zapalę swe miłosne.

Przyjdzie, przyjsię musi, gdy jej pora
Zazgrzyta kluczem niewidzialnym
Nic nie pomoże krzyż przeora,
Ni zakonników trwożne psalmy.

Dzieciatku poda pierś srebrzystą,
Dzieciatku, które dawno zmarło,
Otworzyć będzie próbowała
Kłódkę za życia nieotwarła.

Poco modlicie się, wzdychacie,
Jadło rzucacie jej i wódkę,
Wreszcie ugaście jej ciekawość,
Otwórzcie tajemniczą kłódkę.

A wtedy wreszcie, wreszcie syta
Odciekawiona aż po wieczność,
Przeistanie nocą kluczem zgrzytać
A ja was guślić tą powieścią.

Wskoczył na siwka, kopią skinał
Wyjechał z zamku i... zaginał. —

O Polsko, która do swych córek,
Przychodzisz późno i oziębła,
Krwia Kunegundy zakwitł wzgórek
Skoczyła w przepaść, jak w przerebłą.

I między liśćmi — jeden więcej —
Leżała głowę tuląc w ręce.

O Polsko, wieki przeszły, miną.
I przyjdą nowe, przyszłe wieki,
Lecz przykleknijmy nad dziewczyną
Całunkiem zamknąć jej powieki.

Drobne listeczki, złote listeczki
Szumieć wiatrowi imię dziewczeczki.
Buki złociste i bursztynowe,
Powiedzcież bajkę o włosach płowych.
Sosny wiekami mrące na skałach,
Jak ta, co Polski daremnie chciała.

Płaczcie liście, płaczcie srebrnie i złociście:
Ku-ne-gun-do.

Twierdze jej przeniosły się z kamiennych pomników do kurnych nierzadko chat, pod słomiane strzechy, by dawać odpór coraz większemu ciśnieniu i naporowi.

Zniemczyły dawne stolice. Łacińskie epitaflia i „polski“ styl w architekturze pozostały jako jaskrawe kontrasty. Bujność ogarniająca wszystkie sfery życia, zdążająca do jak największej jego pełni, została skazana na sąsiedztwo z bezduszną prusacką szablono, zaprzęganą w służbę podstęp i siły.

Ileokroć byłem na południu Warmii, zastanawiał mnie zupełnie niezwykle w prostym tutejszym ludzie sentyment do przeszłości, jakieś dalekie reminiscensje dawnych lepszych czasów i związku z Polską poprzez ogniwa starych zabytków, jakieś przebrzmiałe tradycje i anachroniczne nawyki myślenia. Pokazywano mi barokowe Madonny z objaśnieniem, że to jeszcze „polska Matka Boska“, mówiono o „polskich biskupach“ ze splekanych płócien, o „polskich domach“. Jakies niedopowiedzenia, jakieś powikłania za aktualną polską przeszłością nie pozwalały zgłębić duszy i mentalności tego ludu. Coś męczyło i niepokoiło, zwłaszcza, że równocześnie wylaniał się problem odmienności warmińsko-mazurskich, przeświecający z życia, jakby spod rzęsy zastarzanych porostów, fragmentaryczny i niepowiązany. Coś jakby świat platońskich idei krył się za okrucami warmińskich wypowiedzi. Poza podświadomymi sentymentami, chowała się wizja jakiejś duchowej ojczyzny.

Na gruzach północnych miasteczek, na zwaliskach starego Licbarka, na straszliwej ruinie Braniewa, które na swą skalę szło o lepsze z pięknoscią Gdańska, ujrzałem strzaskane oblicze warmińskiej ojczyzny, a przez nie zawiły problem kontrastów warmińsko-mazurskich ukazywał mi się w nowych, uchwytnych konturach.

Osiem czy dziewięć razy przejeżdżałem przez Olsztyn w czasie mej pruskiej podróży i za każdym razem w zestawieniu pojedynczych zdarzeń zagadnienie to ukazywało się w coraz innych aspektach. Dwie formacje cywilizacyjne, oddalone od siebie o kilka kilometrów, skostniałe w hermetyzmie partykularzy, frapowały omal od pierwszego dnia wypraw.

— To jest po naszymu, krakowskim szryftem — zauważył siwy Mazur spod Pasymia, podając mi fotografię.

Ileokroć pociąg stukał po zwrotnicach olsztyńskiego dworca, szukałem gorączkowo wspólnego mianownika dla tych pojedynczych zjawisk i linii granicznej, która by bez reszty wyjaśniła zagadnienie nie tylko od religijnej strony. Przypadek odsłonił mi archaiczność podziałów warmińsko-mazurskich i ukazał inny punkt widzenia na te dwa regiony jednego kraju, które są niby dwie muszki zasklepione w grudkach bursztynu. Było to jeszcze, nim przemówiła Brunsberg.

Jednego dnia słuchałem tylko o Samułowskim, ks. Barczewskim, Liszewskim, Pieniężnym czy Zientazównie jako o soli pruskiej polskości — innemu mówiono mi znowu w tym samym sensie o Lince, Kajce, Barkem, Labuszu czy Leyku. Jednego dnia słuchałem godzinę w kościółkach warmińskich śpiewanych polszczyzną Kochanowskiego i mówiono mi: „to nasze śpiewki“. Innego stary chłop mazurski cytował mi werseł ze Starego Testamentu, ale gdy mu pokazywałem łacińskim drukiem wydaną, malutką antologię literatury mazurskiej z reprodukcjami szesnastowiecznych druków protestanckich, popatrzył z niechęcią na książkę i rzekł twardo: — Ta książka nie jest pisana po naszymu.

Potem znów pokazywano mi troskliwie przechowany zbiór warmińskich wydawnictw ludowych, wypełniony pobożną treścią, a w jakiś czas potem na Mazurach wypadła mi w autobusie reprodukcja karty jednego z polskich inkunabułów, drukowana na szwabach, która zaplątała się jako zakładka w przewodniku Orłowicza.

W Liębarku, oglądając ze starym Warmiakiem oranżerię Krasickiego, którą Niemcy zmienili na kostnicę; natraciłem półzartem o epikurejskie upodobania i wolnomyślność autora „Monachomachii”. Stary, niezbyt biegle po polsku mówiący, człowiek, który wzruszał się omal do łez, gdy mu mówiłem o Krakowie i prześpiewywał mi stare pieśni kościelne na dowód, że pochodzi z Krakowa, schował się pod wpływem mych słów, jak ślimak w skorupę i od tej chwili odpowiadał już monosylabami. Na pożegnanie nie wytrzymał i uciał wykład o przeszłości Warmii i niezwyklej roli książąt-biskupów. Mimo całej idealizacji i niezbyt gruntownej wiedzy, on pierwszy zwrócił mą uwagę na równie polityczne jak religijne podłoże pruskich podziałów.

Tak się złożyło, że w jakiś czas potem wdałem się równie przypadkowo w rozmowę z inteligentem mazurskim o Albrechcie Hohenzollernie i nieostrożnie wypowiedziałem utarty w reszcie kraju pogląd na osobę tego, któremu marzyła się Germania nowa, zrealizowana w końcu przy udziale naszego niedołęstwa i krótkowzroczności. Inteligent mazurski był nie mniej dotknięty w swych uczuciach, jak stary Warmiak. Wypowiedział się z wielką siłą przekonania, a w ustach jego wyraz Królewiec miał brzmienie równie ciepłe, jak Kraków w słowach tamtego.

Ta rozmowa ukazała mi drugą stronę medalu. Linia podziałów pruskich jest anachroniczna i dawno przebrzmiała w reszcie kraju, a wywodzi się z czasów, gdy w dawnej Rzeczypospolitej walczyły z sobą o lepsze dwa światopoglądy i dwie koncepcje polityczne, jakie reprezentowały obozy reformacji i kontrreformacji. Podział, który rozłamał Polskę złotego wieku na dwie połowy, a zniknął dopiero z zupełnym zwycięstwem katolicyzmu, przetrwał tu do dzisiaj.

W dwóch jedynych bodaj w ramach państwowości polskiej pruskich państewkach: świeckim i duchownym, wykształciły się typy psychiczne i mentalności, jakich nie podejrzewamy w kraju, gdzie rozwój życia narodowego nie utknął ani na pokój welawsko-bydgoskim, ani na pierwszym rozbiore. Sentyment Warmii do katolicyzmu i to katolicyzmu, którego tradycje są równie przedrozbiorowe, jak książęco-biskupie, nie tłumaczy się bowiem zarzutem „klerykalizmu”, a specyficzna umysłowość mazurska „większym zniemczeniem psychiki”, jak to się gdzieś niegdzie próbuje wyjaśniać. Cała pointa tkwi w skostnieniach światopoglądu i odcięciu od źródeł narodowego życia, obojętne mniejszych czy większych.

Dla Warmii polska przeszłość upłynęła w cieniu albo jak kto woli w blaskach rezydencji libarskiej i kuźni brunsberskiej katolickiej myśli kontrreformacyjnej. Cała świetność gospodarza i swoboda indywidualnego bytu, liczebność żywiołu polskiego i jego znaczenie, mrowie zabytku architektonicznego i poczucie związków z Polską jest dziełem „duchownej” przeszłości i pracy cywilizacyjnej Kościoła polskiego, który od Hozjusza po Krasickiego reprezentował tu jednostki wybitne (nierzadko królewskiego rodu). Coś koło dwudziestki polskich książąt duchownych rządziło warmińskim lennem, w tej liczbie pięciu późniejszych prymasów, a każdy z nich albo kolonizował protestanizujące miasta, albo wznosił

wspaniałe dzieła sztuki, albo dbał o oświatę, albo co najmniej prezydował lokalnym sejmom i reprezentował majestat Rzeczypospolitej.

Tylko najazd szwedzki mógł oddać lenno warmińskie w obce ręce brandenburskie i usunąć biskupa, tylko rozbiór w sposób gwałtowny i nienaturalny mógł położyć kres suwerenności jego władcy i przerwać passę polskich rządów tej ziemi.

Inaczej było na Mazurach. Tutaj reformacja pobudziła tętno polskości i ona dała początek złotemu wiekowi mazurskiej kultury. Sekularyzacja wykopała przepaść, jaka w czasach krzyżackich, a potem wyraźniej od pokoju toruńskiego zarysowywała się za ledwie między Warmią a „krajem czarnego krzyża”. Odmieniło się zupełnie oblicze duchowe książęcego kawału Prus. Zasada cuius regio, notoryczna w świeckich i duchownych państewkach zachodu, wyznaczyła Mazurom miejsce w obozie reformy i zupełnie odmienne szlaki rozwojowe.

Jakiegokolwiek byłoby nasze zdanie co do intencji Albrechta i celów, w jakich tworzył w owym państwie separatystyczny azyl dla najwybitniejszych przedstawicieli polskiego luteranizmu, nie sposób odmówić mu iście mecenasowskiego gestu w odnie-

sieniu do wspaniałego ośrodka polskiej myśli innowierczej w Prusach XVI i XVII w. Na Mazurach mało było „polskiego” baroku. Jeśli wciskał się poza granice Warmii, to nierzadko pod presją polskich suwerenów, albo przesączał gwoździ zaspokojenia sentymentów ludowych. Chlubą Mazurów jest świetny ruch umysłów innowierczych, wyrażony w niezwykłym rozkwicie polskiego słowa drukowanego, wyprzedzający krajowe osiągnięcia. Język polski w zborze, pierwszy polski przekład Pisma św., jedne z pierwszych w świecie protestanckich ustaw kościelnych, pierwsza polska gazeta w Prusach XVIII w. — były dziełem polskiego środowiska, które rozkwitło wokół uniwersytetu królewskiego i dworu książęcego protektora.

Może się Warmia chlubić zabytkami architektury, może podziwiać produkcję literacką Brunsbergi (nieporównanie mniejszą) i jej jezuickie tradycje wychowawcze i kulturalne, Mazury za równoważny, bo za wiele wyższy przejaw polskości ich historycznych tradycji uważają okres, w którym jak wierzą, byli wybraną częścią „oboju postępu” w Rzeczypospolitej. To od nich, nie na odwrót, zapładniała się polska myśl reformacyjna w przeciągu dwóch wieków.

Należy być bardzo ostrożnym wygłaszając na Warmii poglądy na osobę poety-biskupa, ale kto wie czy nie większym nie-taktem jest rzucać cień na Albrechta na Mazurach. W dawnej Polsce wzdychali do niego dysydenci, jako do ideału władcy, światłego reformatora i przyjaciela Polski, a wiele z tego nimbu pozostało mu do dziś w oczach mazurskich, nie zdołałem stwierdzić czy, tylko inteligentów.

Nierzadko robi się t. zw. autochtonom zarzut, że nie mają zrozumienia dla polskich programów politycznych doby obecnej i stąd kuje się przeciw nim ostrze inwektyw. Mało kto rozumie, że to nie zła wola, ale archaiczność szkoły politycznego myślenia, obok wiekowych obcych tradycji państwowych, jest przyczyną tej „apolityczności”. Jak dotąd łatwiej jest ranić tuziemcze uczucia, niż je rozumieć.

Kiedys unoszono się nad regionem góralskim, który rozciągał przed krajem nowe bogactwa rodzimego folkloru. Zachwyty te szły aż do kultuwowania przesadnego regionalizmu. Dziś inne „odkrycie” prosi się o prawo obywatelstwa w opinii publicznej. Dobrze by było zrozumieć, że na naszych oczach Polska stała się bogatsza o zacofanie warmińskiego i mazurskiego regionu, bogatsza o zabytkowe curiosum, które warto by uchwycić, nim zatonię w prądzie terażniejszości.

Dotąd pod tym względem mało widzi się inicjatywy. Ignorancja niższych władz i ogółu społeczeństwa doznaje obecnie pomiarkowania od góry w sprawach najjaskrawszych. Nienawistne asocjacje słowa Prusy sprawiły, że do niedawna wszystko było tu tylko i wyłącznie mazurskie od nazwy województwa po muzeum regionalne, instytut naukowy i lokalny dziennik. Zarówno do Warmiaków jak Mazurów mówiło się na równi: wy Mazury. Dziś (aczkolwiek Warmiacy do tej chwili biadają, że ich stolica Olsztyn nie ma ulicy Hozjusza, czy ks. Barczewskiego, choć są tu ulice Reformacji a nawet... Husa) dążenie do różniczkowania zagadnień warmińsko-mazurskich zdobywa sobie prawo obywatelstwa. Tym bardziej brak naukowej czy choćby publicystycznej tylko próby ujęcia zagadnień warmińsko-mazurskich i spopularyzowania ich w szerokich masach społeczeństwa.

Na razie przed wędrowcem, któremu ten kraj jest na tyle bliski, że chciałby go zrozumieć, pozostaje droga samotnych poszukiwań syntezy i metoda klecenia przypadkowych obserwacji w mniej lub więcej udaną całość.

Północ Warmii, nawet przy ogromie nieopisanych zniszczeń wojennych, stanowi nadzwyczaj ważne dopełnienie wachlarza aspektów, pod kątem których patrzeć trzeba na przeszłość i terażniejszość spraw pruskich.

Można wiele korzystać, obcując z żywym człowiekiem, można wiele przeczuć po przez wyrazistość słów i gestów, można z kolosalnym pożytkiem czerpać z książkowej wiedzy, ale by zrozumieć, choćby jednostronnie, ducha dziejów kraju, trzeba pokontemplować nieco budowle Liębarka, Braniewa czy Fromborka. One to wytyczały kierunek biegowi spraw pruskich na swoją modłę, widoczną mimo zwietrzenia wieku antagonizmów i półtorawiekowych niemieckich retuszy.

Nagroda Literacka Czytelników »Odry«

Jedenasta lista składek

Leonard Borkowicz, wojewoda szczeciński	50 000 zł
Wojewódzki Urząd Inform. i Propag. w Szczecinie	3.000 zł
Tomasz Kowalczyk, Krzyżowice	1.000 zł
Natalia Kruszonowa, Gorzów Wlkp.	500 zł
Michał Kowalski, Katowice	5.000 zł

Składamy wszystkim ofiarodawcom jak najserdeczniejsze podziękowanie za cenne składki. Szczególnie wdzięczni jesteśmy Obywatelowi Wojewodzie Szczecińskiemu, który podobnie jak General Aleksander Zawadzki, wojewoda górnośląski, ofiarował na nagrodę literacką „Odry” 50.000 zł. „Odra” od samego początku żywo interesuje się Szczecinem, oceniając sprawiedliwie ambicje kulturalne tego wojewódzkiego miasta. Województwo Szczecińskie pod kierownictwem Leonarda Borkowicza stało się nie tylko pięknie zagospodarowaną częścią Polski, o coraz szybciej normalizujących się stosunkach ludnościowych, ale i terenem organizującym żywo swe nieliczne jeszcze ośrodki pracy kulturalno-oświatowej.

Wydawnictwo Michał Kowalski pisze nam przy okazji wpłaty składki na nagrodę:

„Podjęta przez W.Panów inicjatywa utworzenia Nagrody Literackiej dla młodych talentów literackich Ziemi Zachodnich jest pięknym i godnym poparcia wyrazem działalności W.Panów i niewątpliwie dorzuci wartościową cegielkę do odbudowy polskości na Ziemiach Odzyskanych”.

Suma dotąd wpłaconych składek wynosi 153.100 zł. Dalsze składki prosimy wpłacać na Konto „Odry” w P. K. O. III-4960 Katowice.

ŚWIĄTKI MAZURSKIE



Madonna z dzieciątkiem. Rzeźba gotycka z uzupełnieniami ludowymi. Wiek XV, pow. Olsztyn, warsztat lokalny



Św. Trójca; rzeźba ludowa z ok. 1780 r. Pow. Olsztyn



Św. Mikołaj; rzeźba ludowa z okolic Olsztyna



Rzeźba z epitafium z kościoła w Bartoszyce, pochodząca z poł. XVII w. Fot. i zbiory Muzeum Mazurskiego w Olsztynie.

Gustaw Morcinek

ŻEGOTA

Fragment

(Dokończenie)
*

Żegota jest już więc od kilku dni w Brukseli.

I znowu oszołomił go ów gwałtowny przeskok z jednego miasta do drugiego, z jednego krańca ziemi na jej drugi kraniec. Podobnie jak oszołomiony był wtedy, gdy z obozu koncentracyjnego wyjechał do Paryża. Lecz wtedy było to innego rodzaju przeżycie. Wtedy był podobny do małego dziecka, które matka po pierwszy raz w życiu przywiozła z dalekiej wsi do ogromnego miasta, pozostawiła na skrzyżowaniu ruchliwych ulic i gdzieś poszła, a on został sam. Wtedy był to jakiś lęk nieokreślony. Przecież wiedział, że mu nikt krzywdy nie uczyni, że nie ujrzy „esmana“ za sobą, a jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ten wszystek zgiefk wielkomiejski, ten hałas, ruch, życie — że to wszystko zbiorowy objaw wrogości.

Oszołomienie, które przeżywa w Brukseli, jest innego rodzaju.

W oczach jeszcze ma tę niekończącą się czarną, asfaltową drogę, po której gnał ich półciężarowy samochód. Droga wiodła przez góry i doliny, przez jary i wądołce, przez rozległe pola i winnice, za szalejącymi potokami górskimi i wzdłuż niesłychanie błękitnego morza. Przystawali w przydrożnych trottoriach, pili wino, zagryzali go serem z czosnkiem, nocowali w jakichś starych gospodach o ogromnie szerokich łóżkach, pod obrazem Madonny z gorejącą lampką oliwną. Lampka oliwna jarzyła się w nocy rubinową kroplą nad głową noc zaś pachniała pomarańczami. A gdy pchnął okiennice i spojrzął w noc, zauważył, jak bardzo obrodziła w gwiazdy i jak w jej głębi dziwnie szumiało morze. Po drugiej stronie był ogród, a w ogrodzie stała jakaś zamierzchna gloriетка, obrośnięta bluszczem. Dochodził z niej namiętny szepc miłosny, jakieś westchnienia ściszone, czasem posypał się stłumiony śmiech dziewczęcy, a w wysokich, czarnych drzewach kłaskały słowiki. W taką noc chyba zrodził się u Szekspira pomysł do jego „Romea i Julii“.

Po drodze przejechali tylko małą świnkę. Wybiegła znienacka z ogrodzenia na skraj drogi, popatrzyła zdumiona na rozwierającą się przed nią wolność, kwikła radośnie i skoczyła pod amochód. Szofer zahamował gwałtownie, panie zapiszczały przerażone, a kiedy w końcu samochód stanął, wszyscy zaś wychyliłi głowy, dostrzegli świnkę, uciekającą z lamentem na trzech nóżkach.

Potem jechali wzdłuż morza. To już nie było morze, to był płynny błękit, przesycony słońcem. Białe żagle błędziły po widnokręgu, jak radosne cienie dusz, które poszły do nieba. Droga miejscami dotykała morza, a wtedy drobne fale podbiegały do niej i szepleniły. Czasem wynosiła się na urwisko, a wtedy patrzyli z góry na morze. Z prawej strony rosły pod niebo turnie, a ich poszarpane ściany były obwieszane girlandami kwiatów. W kwiatach tonały domki i wille wszędy spoczywała dostatnia cisza, że można by rzec, tędy nigdy nie przeszła wojna.

A jednak przeszła.

Od czasu do czasu dostrzegli sterczące z wody antenowe maszty jakiegoś wojennego okrętu lub jego czarny, poszarpany dziób, wynurzający się prostopadłe z morza. Na brzegu zaś stały opuszczone już, ponure, niskie forte z małymi strzelnicami lub olbrzymie kłoce betonowe, zagradzające wyjście na brzeg. Mijali miasta i miasteczka, jasne, słoneczne, pełne kwiatów i dzieci, a znienacka trafiali na całe dzielnice leżące w gruzach. Czasem na białym piasku piaskiego wybrzeża spoczywały rozbite czołgi, walały się pogięte i podziurawione hełmy, jakieś szczątki samochodów spalonych, szmaty ze śladami naszywek mundurowych, piasek zaś był strątowny, poryty lejami, opuszczony i ponury. A na widnokręgu znowu występowały z morskiego błękitu czarne dzioby potopionych statków i okrętów.

Kierownik transportu był pijany winem, lecz kiedy ujrzał takie cmentarzysko, zawsze umiał objąć.

— Tu próbowali ładawać Anglicy, a tu Amerykanie!... A tam znów udało się dessantowi wyjść na brzeg, nawet z czołgami wyjechać, lecz wszyscy zginęli!...

— Z czołgami? Z morza?... — zapytała dziewczyna o urodzie porcelanowej lalki. — Jej, to musiało być interesujące, prawda, panie poruczniku?...

Pan porucznik był pijany i dlatego może spojrzął na laleczkę z nieukrywaną pogardą i potwierdził z przekąsem:

— A tak, to było bardzo interesujące!...

Dziewczyna miała twarz uśmiechniętej łasiczki. Twarz była upudrowana, usta ukarminowane, a brwi zakreślone tuszem w wąską, zdumioną linię.

— Prawda? — zaszczebiotała. Zdawało się, że w ustach ma cukierek.

— Tak, to było interesujące! — upewnił ją jeszcze raz oficer. — Niech sobie pani wyobrazi! Do brzegu podpyływały ogromne statki o płaskich dnach i o ściętych dziobach, znienacka otwierają się ogromne wrota na przedzie, z głębi wyjeżdżają czołgi i tankietki, zanurzają się w morzu, wylażą na brzeg — suną na betonowe bunkry, jak ogromne czarne żuki, plujące ogniem.

A bunkry plują również ogniem. Potem czołgi i tankietki zaczynają się po kolei palić, a w nich palą się żołnierze... Na brzegu zaś stoją śliczne, czarnookie dziewczyny włoskie, klaszczą w dłonie i wołają uradowane: — Bravo, bravissimo!... Płonący żołnierze zaś wyskakują z tanków, czołgają się po piasku, posyłają tamtym dziewczynom całusy płonąca ręką i umierają!... To było naprawdę bardzo interesujące. W kinie może to pani jeszcze raz zobaczyć!... Za 100 lirów na balkonie!... Radzę pani!...

Dziewczyna była tak bardzo głupia, że nie spostrzegła, iż porucznik z niej dworuje, że go ponosi wściekłość.

— A tamte dziewczyny włoskie? Co tamte signoriny? — zapytała i prychnęła okukrowanym śmiechem.

— Tamte signoriny? Hm, zeszyły do niemieckich bunkrów i zaczynały się puszczać z żołnierzami na grandę!... Raz kozie śmierć. Jeżeli nie z angielskim Tommy, to z niemieckim Hansem. Byleby się tylko puścić!...

Dziewczyna oniemiała. Potem zaczęła wymyślać oficerowi. Płakała, a jej twarzyczka uśmiechniętej łasiczki przemieniła się w starą, złą twarz pawiana. Potem już nie odezwała się do niego ani słowem, aż do Paryża.

Lecz to wszystko należało już do przeszłości.

Żegocie przypominały się wciąż potopione statki wzdłuż wybrzeża i tamten storpedowany statek-cysterna w „ich morzu“, z którego topielce wychodziły na brzeg w burzliwą noc jesienną.

Teraz w Brukseli stopniowo pozbywał się zdziwienia.

Mieszkał w starej kamienicy przy Avenue Molière. Kamienica, jak wiele innych kamienic brukselskich, była wąska i wysoka. Posiadała tylko dwa okna z frontu, a na każdym piętrze znajdowały się tylko jeden duży i jeden mały pokój. Mieszkał tu kiedyś, przed wojną, jakiś Żyd belgijsko-angielski i stąd tyle książek angielskich w starej szafie gdańskiej. Najliczniejsze z nich, to stare wydanie Waltera Scotta w czerwonych okładkach, ze sztychami o posępnym wyrazie. Mgły, niskie niebo, ciężkie chmury kłębiaste, ponure morze, krajobrazy skaliste. Właściciel w czasie wojny gdzieś zaginął. Rzecz jasna, że go Niemcy spalili w krematorium.

W tym domu znajdowały się stare meble, jakaś mieszanina Ludwika XVI, Empire, Biedermeiera, Secesji, a potem jeszcze wytwory rodzimej sztuki stolarskiej o haniebnym guście i smaku. W sumie stara rupiecarnia z lustrami w złożonych ramach rokokowych, z meblami o wykrzywionych nóżkach, z wypłowiałymi obiciami, z dywanami na podłodze, dywany zaś tak wyglądały, jakby przeszła przez nie cała armia w podkutych butach. Były jakieś zakamarki, nisz, parawany, cudacznie haftowane kopie Rubensa, gobeliny i witraże. Obrazy ginęły w ciężkich, złożonych ramach. Słowem brzydkie muzeum, świadczące o brzydkim smaku właściciela, który swój „home“ brzydko ozdobił. Brakowało jeszcze jakichś gipsowych odlewów na parapetach okiennych i wypchanego psa na otomanie, jak to brukselczycy zwykli ozdabiać swe mieszkania.

W domu tym straszyl!

Tak przynajmniej twierdzili sąsiedzi, patrzący zawsze z lękiem na Żegotę.

W domu tym więc straszyl.

Stanisław Skoneczny

Odwrót

Macierzanki jeszcze woń niosą miedzami w sady
ociężale bielenia mroku nad śladami dziecinnych stóp.
Żurawie skrzypią przeciągle, niebo podnosząc blade.
O szyby warkot myśliwców dzwonił jak uderzenie grud.

Na pustym horyzoncie drzewa idą gromadą.
Nieruchomo sterczą gałęzie nad skrzydłami wiatraków.
Droga pełną wyboi w zmierzch wojenny idą i jadą,
a szumi nad nimi lot ciągnących do gniazd ptaków.
Hełmy dzwonią o siodła, rzemienie parzą skórę
koni łowiących w uszy trąbkę wśród sosen burych.

Wynoszą kobiece ręce w mijanej wsi garnuszki
z mlekiem kipiącym pianą. Usta piją zaschnięte.
Sypią się liście stręcane po lufach jak polne gruszki,
schną malwy w ogródkach, a rosa dojrzewa miętą.

Gwiazdy nie błyszczą na niebie. Wiatr drzewinę gnie,
biegnąc łakami, tratuje trawy pochylone.
Milcząca wieża kościoła wyrośnie nad wzgórzka dniem
czerwona i strzelista w błękie zadymionym.
Zabrzączy czasem karabin, piasek miela koła
wozów ocalałych. Głos zachrypiły woła.

Płyną czarne pola ścierniskiem żyta i pszenie,
nogi oblepia droga kurzem zroszonym i mgłą.
Człapią konie, żując pociemku zapach zieleni,
zqeżdżone deski mostu pod tupotem się gną.

Człapią końskie kopyta, nogi podbite, obtarte.
Marsz wierzecholkami wierzb znaczy swój szlak.
Kołyszą głowy sennie sny o odwecie za Wartę.
Nad Odrę w dudnieniu potężnych dział
idą sennie wizje. W gałęzie pada deszcz,
a w oknie domu, co ocalał w fabrycznym mieście,
głowa siwa trwa i oczy pełne łez.

Tymoteusz Karpowicz

Rys. A. Rohoziński

Złote jezioro

Z legend zachodnio-pomorskich

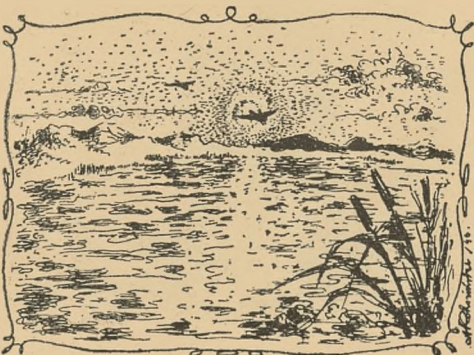
Za borem wysokim i czarnym, leżała łąka. Porastające do pasa trawy, ginęły jesienią, gniły, przetwarzaly się na pokarm nowym wiosnom. Zostawały tylko co grubsze badyle, łamiące się na mrozie. Oprócz kilku drzew akacji, było tu pusto. Wzrok nie mógł wypatrzyć żadnej ścieżki. Tłukł się tu tylko niewiadomo skąd przybyły, zamknięty ścianami lasu, jak oddech w piersi — wiatr. Poza łakami wznosiły się wzgórza. Nagie, kamieniste, rdzawe. Nie rosły tam nawet trawy — królował jedynie fioletoowy glog. Człowiek tu nigdy nie zaglądał — nie przedostałby się przez zapórę boru — lękiem przejęłoby go pustkowie... Tylko czasem cienkonogi jeleni przemknął nad murawą jak olbrzymia jaskółka i zapadł w niezgłębione czeluście lasu...

Za pagórkami leżało jezioro. Posiadało ono zadziwiająco barwę. Było złote. Kiedy padały na niego promienie słońca — lśniło się jak olbrzymia tarcza. Nawet tatarak i trzcina miały złote łodygi i liście. Czas upływał. Przemijał niekończący się łańcuch lat — woda promieniowała niezmienne. Co wieczór przelatywały nad nią dzikie kaczk. Czasem zataczały koła i siadały na falach, pośród soczystego kwiecia lilii. Niektóre z tych ptaków zagnieździły się tutaj. Odlatywały jednak często i wracały tuż przed świtem. Skąd? Nie wiadomo...

Ich powrotny lot był ciężki, wolny, wy-czerpany daleką wędrówką.

Pewnego razu z za płaskowzgórza odległego od jeziora o pół godziny drogi, wylonily się dwie ludzkie postacie. Mężczyzna i kobieta... Byli młodzi, zdrowi i piękni... Z ich ruchów można było wnioskować, że są nadszyczać zmęczeni. Ogorzała twarz mężczyzny zalewał pot. Spojrzenie niespokojnie wybiegało naprzód. Zatrzymali się.

— Słuchaj Ludgierze. Wypuśmy tę ostatnią kaczkę — złotonogę. Mam wrażenie,



żeśmy zblądzi. Na noc zastawimy znów siidla w szuwarach.

— Ostatnia?... A no... leć!...

Zatrzepotał gorączkowo uwolniony ptak i pomknął ku nizinie...

— Tak! To w tamtej stronie jest gdzieś płynne złoto! Tam one maczają swe pióra. Chodźmy! Chodźmy czym prędzej...

Nie bacząc na raniące głogi i kamienie, pobiegli naprzód. Ludgier wyprzedził towarzyszkę, ominął krzak akacji, zatrzymał się nagle, rozrzucił ramiona i zakrzyknął: — Patrz! Patrz! Złote jezioro!...

Istotnie, w promieniach słońca, lyskały jasne fale. Ludgier nie czekając na młodą żonę — runął naprzód. Pierś mu rozsadał tryumf. Ludgier był chciwy — pragnął bogactwa i oto teraz przed nim dobry los otworzył skarbiec — to tajemnicze jezioro, o którym tylko krążyły legendy. Biegł więc coraz szybciej, potykał się, upadał. Nie zważał na nic. Wreszcie dopadł brzegu. Zachłystnął się uczuciem szczęścia. W szalonej radości zanurzył obie ręce w wodzie po łokcie. Cofnął. Pozostał na nich ślad złota. Ludgier zgiał się jeszcze bardziej nad jeziorem i uderzając dłonią o fale chichotał, krzyczał...

— Sławo! Szczęście! Patrz — szczęście! Sława, gdy dobiegła zadyszana, zatrzymała się również olniona. Szeroko rozwartymi oczami patrzyła jak mąż przez palce przelewa blaski...

— Chodź! Chodź i ty zanurz dłonie... Pocuj na rękę ciężar i chłód tego skarbu. Zanim żona jego zdołała uczynić krok naprzód, by spełnić żądanie męża, stanął między nimi starzec siwobrody. Sękatym kijem zagroził drogę kobiecie.

— Ktoś ty? — oburzył się Ludgier — wy-noś się stąd włóczęgo i ani słówkiem nie piśnij o tym jeziorze. Słyszałeś?

— A! mi was — pokiwał głową starzec.

Siedział długo w noc i czytał na przykład Bernanosa „Die Sonne Satans“. W całym domu cisza, bo ludzie już spali, tylko przez otwarte okno sączył się nieśmiały, zamierzający szum miasta. Zmienacka dolatywał go jakiś podejrzaný szelest. Jakies drobniuchne, bardzo lekkie kroki. Cup!... cup!... cup!... Ze wszystkich stron. Jakby ogromnie małe ludek, jakby ogromnie małe duszki jeły na umówiony znak wychodzić ze szpar czy spoza starej szafy gdańskiej i teraz niewidocznie biegają tłumem we filcowych pantoflach. Biegają po całym pokoju, spłoszone czy mocno zaaferowane!... Tak biegają chyba mrówki w mrowisku, gdy jakiś swawolny Dyzio zacznie patykiem szturkać w ich kunsztowne domostwo. I nic. Owe duszki pobiegały, pobiegały, potem gdzieś zniknęły i znowu nastała cisza, jak przedtem. Widać załatwiły swoje interesy, ujrzały się, nagały sobie moc nowin, obejrzały go dokładnie, powyłaziły nawet na oparcie fotelu i patrzyły mu w oczy, pogrzebały ciekawie we włosieniu, wylazającym z fotelu, może się nawet poczuły na wytartym dywanie i teraz już sobie poszły.

— Dobranoc, moje duszki! — powiedział im wtedy i znowu czytał Bernanosa.

Czasem po ich odejściu otworzyły się zmienacka drzwi do jego pokoju. Wtedy podnosił się, chwilę czekał, a gdy nikt nie wychodził, zamykał je powoli. Widać jakiś starszy i większy duch przyszedł do niego i nie umiał drzwi zamknąć. Lecz cenił jego uprzejmość, bo już potem zachowywał się cichutko i nie przeszkadzał mu żadnym szelestem w czytaniu tamtej niesamowitej historii o l'Abbè Donissanie, który wierzył w szatana i zmagał się z nim, jak biblijny Jakób z Aniołem.

Właściciel domu, w którym teraz mieszkał Żegota, lubił zegary. U niego może to był jakiś uraz czy kompleks zegarowy. Tych zegarów było dużo w całym domu. Na każdym kominku, na szafach, na stolikach, wszędzie. Rzeźbione w drzewie, z kukułkami, z cesarzem Napoleonem, z bekasami, z geniuszami o ułamanym nosach lub skrzydłach, czarne i zakurzone stały milcząc. Żaden z nich nie tykał, wszystkie umarły z chwilą, gdy ich właściciel umarł. W szafie gdańskiej, na dnie leżało pudełko, a w pudełku klucze do ich naciągania. Teraz ich nikt nie naciągał, bo i po co? Trudno je zmusić do życia, a jeżeli by tak na upartego wskrzesić w nich umarły czas, życie ich i tak będzie kulawe i niezgodne z obecnym życiem. Milczały przeto, podobne do wytwornych grobowczyków umarłego czasu.

Jeden taki zegar stał u niego na kominku.

Ciemna tarcza z białymi cyframi wynurzała się z jakichś egzotycznych liści, rzeźbionych w drzewie, a w liściach siedziały dwa ptaki, podobne do przepiórek. I nic. Zegar stał i milczał. Stał tak i milczał od chwili, gdy Żegota sprowadził się do

tego mieszkania. Aż gdy raz wieczorem wrócił z miasta, i usiadł do książki, posłyszał rytmiczny szelest. Zazwyczaj stare zegary skrzypią, zardzewiały głosy, wygrywają kuranty. Jego zegar jednak nie wydawał zardzewiałego głosu, nie wygrywał kurantów, ni jego przepiórki nie kiwały główkami i nie trzepotały skrzydłami, jak to powinien czynić każdy zegar, który przeszedł do literatury. Jego zegar spokojnie tyka. Jakby kura leciuchno gdakała. Bez przerwy. Lub jakby woda kapiała z rury do fajansowej muszli. W pierwszej chwili pomyślał, że go może znowu jakiś nowy duch odwiedził. Lecz kiedy zaintrygowany

zaczął szukać miejsca, skąd owo rytmiczne gdakanie wypływa, dotarł do zegara na kominku.

Patrzył nań urzeczony. Przecież dotychczas milczał! Nikt do niego nie wchodził podczas jego nieobecności, gdyż klucz od mieszkania miał z sobą. A tu zmienacka ocknął się i żyje. Nawet dzwoni. Głos dzwonka był czysty, metaliczny i cichy. Dzwonił zaś różnie. Raz wybijał niezliczoną ilość godzin, potem ograniczał się do jednego uderzenia, potem znowu coś sobie przypominał i zaczynał wyliczać jakieś pomyłone godziny. Jego tykanie w nocy było donośne.

Żegota był ciekawy, długo będzie żył.

Nie miał wcale zamiaru naciągać go lub ruszać. Niech sobie żyje i odmierza swój cudaczny czas. Jego tykanie wypełniało ciszę w pokoju i wypłaszło samotność. Stary zegar na kominku stał się jego przyjaciелеm.

Dziś otrzymał list od Hanki. Wciąż jeszcze buntuje się i uwielbia Jehowę. Zaniepokoił go tylko jeden szczegół. Wspominała coś niejasno, że tamci marynarze z zatopionego statku-cysterny nadal blakają się w ciemną, burzliwą noc po zburzonym mieście i że ją wołają, gdy nad ranem schodzą do morza...

Wojciech Żukrowski

Bardzo dziwna książka

„Boską Komedią“ naszych czasów jest „Lunapark“ T. Kwiatkowskiego, groteskowy obraz zabłąkanego człowieka z jego miłością, przyjaźniami, poświęceniem i tęsknotą, bunt twórczej jednostki przeciw zastanym ustrojom, państwowym politycznym, tyranii i propagandzie. Znowu ku nam powraca metafizyczna tęsknota za niebem przelotczonym, a jednak tym samym od czasu średniowiecza. Oto księga żartobliwego porachunku z materialistycznymi hasłami, które uwodzą pospółstwo zrealizowaniem raju ziemskiego w jednym pokoleniu“.

(urywek z dyskusji nad książką T. Kwiatkowskiego „Lunapark“).

Wydana ostatnio książka Tad. Kwiatkowskiego jest wśród coraz liczniej pojawiających się debiutów, wydarzeniem niezwykłym. Uderza nie tylko śmiałością ryzykanckiej formy, językiem doprowadzonym do muzycznej precyzji, ale i niepokojącym, przewrotnym przekrojem świata i pragnień twórczej jednostki. Oczywiście zdanie z dyskusji, cytowane przeze mnie w cudzysłowie, jest wygłoszone z powagą nie mniejszą niż cała powieść Kwiatkowskiego, Ziemia w jego widzeniu, z państwami, ustrojami, kłamliwie agitującym pięknem, to olbrzymi „Lunapark“, który najpierw oszalał, a potem zmusza twórcę, każdego myślącego człowieka do analizy, do obrony swej osobowości przed natłokiem doznań estetycznych, przed przymusem szczęśliwości mieszczańskiej. System nie zostawia miejsca na własną twórczość na realizację boskiego pędu kreatorskiego, system wypełnia swoim programem wszystkie czas, nie daje, zabrania samodzielnego myślenia. Musi nastąpić konflikt między jednostką, a precyzyjnie działającą organizacją, machiną przymusowego zachwyty — Lunaparkiem.

Artysta, dla którego sztuka jest modlitwą, choć tylko potrafi stawać na rękach, nie może się naśycić rozkoszami, jakie mu wleciała Lunapark. Nawet pospółstwo, naj-



typowscy mieszczenie, drobiazgowo poklasyfikowani, choć kosztują w nim łatwiej, łaskoczącej muzyki, barw i zreczności, mimo dozowanych rozkoszy, noszą w sobie tęsknotę i niedosyt. Braki i niedobór odsłaniają się niespodziewanie na dwu płaszczyznach, tłum pragnie krwi i pokarmów duchowych. Tłum ścigający bohatera powieści chce być świadkiem starcia, zakłócenia ustalonego i strzeżonego porządku, ale gdy rozgrzeje się pogonią, woła o krew i mord. Obraz drugi: ten sam tłum napierający na okna jest już gotów pożerać wszystko, pragnie, tęskni i zazdrości zachowującym odrębność artystom, przeczuwa ich umysłową wyższość i bogactwo przeżyć, którego nigdy nie dadzą im budy Lunaparku. Gdy wreszcie tłum uświadomi sobie, że był oszukiwany namiastkami, wybucha bunt, bierze udział w rewolucji, czy powstaniu zakończonym katastrofą.

— Żal ci chyba tych bogactw, których staliśmy się posiadaczami. Żal ci sknero tej tajemnicy, którą nie zdołałeś ustrzec. Trzeba ci było więcej uważać na kaczki.

— Żal mi was — powtórzył siwobrody — młodzi jesteście. To nie jest waszym skarbem. Idźcie stąd póki nie jest jeszcze za późno.

— To ty uciekaj czym prędzej. W przeciwnym razie stracę cierpliwość i kark ci spróchniały ukręcę.

— Żal mi was, lecz widzę, że jesteście butni. Przyjdę wówczas, kiedy się wybędziecie pychy — powiedział spokojnie i znikł.

— Co za wstrętny dziadga — zacisnął Ludgier pięści — sprowadził nam jeszcze rywali. Zło biło z jego oczu.

— Raczej dobro — zauważyła nieśmiało Sława — możemy zastanowimy się nad tym co on wypowiadział.

Ludgier wybuchnął namiętnie.

— Teraz, kiedy osiągnęliśmy szczyt marzeń, mamy się zastanawiać nad pustym gładzeniem? Nie Sławo! Bierzmy się jak najszybciej do roboty. Na dnie tego jeziora musi znajdować się nieprzebrana ilość złota. Im szybciej go wydzwigniemy, tym prędzej staniemy się szczęśliwi.

Od tej chwili małżonkowie bezustannie bobrowali po jeziorze. Tak, jego dno było całe ze szlachetnego kruszcu. Nurzając się, z nie małym trudem zdołali wydzwignąć kilka brył złota. Ludgiera ogarnął szal bogacenia się. Wątle ręce Sławy mdlały od wysiłku, słabe płuca długo nie mogły wytrzymać pod wodą. Ludgier złocił się. Lecz góra złota rosła i rosła na zrębach. Trwało to tak parę tygodni. Któregoś wieczoru, zdążając do prowizorycznie skleconego

szalasu, małżonkowie z trwogą spojrzeli na siebie.

— Jaka ty straszna! — zatrzymał się Ludgier — jesteś jak martwy posąg. Dopiero teraz to zauważyłem.

— Ty również jesteś odpychający. Od pierwszego zanurzenia w wodzie. Przykro mi było tylko o tym wspomnieć.

— Widziałem gdzieś tu niedaleko zwykły strumyk. Musimy się natychmiast umyć.

— Oczy twoje zmieniły też barwę.

— Zdaje ci się — odrzekł zdenerwowany Ludgier — chodźmy!



Przebiegli okwieconą łęką. Opodał tryśkało źródło. Ich ręce z drżeniem zanurzyły się w przeźroczystej wodzie. Napróżno!

— Natrząj to piaskiem. Szoruj kamieniem! Przecie tak nie może zostać. To byłoby przekleństwem!

— Ręce już mi krwawią, Ludgierze.

— Niech krwawią, trzyj!

Niestety, nie pomagało nic. Ludgier kamieniem wprost ze zgrozy. Podbiegł do Sławy i wpil się palcami w jej ramię.

— Jakto? Ty nie miałabyś już nigdy tej zarumienionej twarzyczki, białej szyi, błękitnych oczu? Tylko... tylko wszystko... wszystko złote! Sławo! Sławo! — szarpał ją coraz silniej — Sławo odpowiedz.

Po złotym policzku nieszczęśliwej kobiety spłynęły dwie duże łzy.

— Widzisz jak się nieszczęśliwie stało. Gdybyś był wiedział...

Ludgier chwycił się za głowę.

Potopię napowrót te wszystkie skarby. Chcę tylko ciebie mieć tylko taką, jaką byłaś. Tylko taką, jaką byłaś!

W szalonych skokach pobiegł w stronę jeziora. Sława złamana ruszyła za nim.

— Żal mi was — usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się. Stał przy niej znowu siwobrody starzec. W jednej chwili zrozumiała wszystko.

— O panie — załamała ręce — ratuj!

— Was już nie mogę uratować, lecz przysze pokolenie zbawię od złotego jeziora.

Powiedziawszy to, cisnął swój kostur w fale. Wspięły się one gwałtownie, opadły, straciły blask. Od tej chwili nie już nie różniło wody tego jeziora od innych wód. Litościwy starzec zamienił również Sławę i Ludgiera na kwiaty przybrzeżnych kaczeczków.

I dzisiaj kwitną one soczyste, barwniejsze niż dawniej... Tylko na odwiecznym pustkowiu wyrosło ciche miasteczko Maszewo, leżące na szlaku Starogard — Nowogard a złote jezioro nazywa się Młynskie. Nikt już nie wierzy, że w pradawnych czasach było ono złote. Legendy jednak nie powstają z niczego i ja skłonny jestem wierzyć, że jeszcze i dzisiaj są takie jeziora siedliska bogactw i nieszczęść...

Lunapark zostaje rozniesiony. Tłum, gdy raz poderwano autorytet demonicznego Dyrektora, rozbija pawilony, depcze sługusów. Dzieła załamane powstania, wszczętego w imię niezależności twórczej jednostki, dokańcza bezimienny, zawieszony i niszczycielski motłoch.

Ale na tym nie koniec. Nie próbuję streszczać fabuły, zbyt wiele wątków zawiera i tak zręcznie powikłanych, że bez rażących uproszczeń, trudno by mi ją było podać. To co tu mówią, jest jedynie komentarzem i to niestety przejrzyście tylko dla tych, którzy już tę powieść przeczytali. Ostatni rozdział, wydarzenia finałowe rozlokowane są na rajskich zakątkach, dosłownie w niebie. Przewodnikiem duszy bohatera powieści, zamiast Beatrice Dantego, jest uwielbiany przez niego Szopen. Niebo rysuje im się jako Uświęcony Lunapark. Pozornie może się to wydawać bluźniercze, ale jest zgodne z teologią, oczywiście jeżeli nie zraża nas sama nomenklatura. Jednej woli podporządkowane są całe niebiosy, ta sama radość z bliskości Boga porusza pochody uwielbionych ciał. Ponieważ bohater powieści, mimo, że pragnie i kocha Boga, chciałby go wielbić na swój sposób stawianiem na rękach, chciałby Go zadziwić tą umiejętnością, w której doszedł do perfekcji, ponieważ pozostały w nim jeszcze ziemskie ambicje artystyczne, zostaje uprowadzony przez Aniołów w dół, ku ziemi.

Gdy przeczytałem, co powyżej, przełakłem się, jak pobrzmiewa niejasną filozofią i nieznosną powagą cały mój wywód. A tego właśnie w książce ani śladu. Może dlatego czyta ją się z taką przyjemnością, że zabawnymi, pełnymi ironii odwróceniami, podważa uświęcone hierarchie, wyzwała osaczoną przez tradycyjne obrazy, fantazję. Pokazano nam z pasją manowce ustrojowe, dziwność zastanego przez nas świata, właściwie tego, z którym się pogodiliśmy. Powieść Kwiatkowskiego jest porachunkiem z reklamującą się do obrzydliwości współczesnością, porachunkiem sięgającym aż do naszej podświadomości. Sprawy, zjawiska nam znane i pomijane w zrozumiłym automatyzmie, od przedmiotu po gest oczywisty, poczyną Kwiatkowski komentować, odwracać, uniezwyklać, posuwa się aż do straszienia. Ale zaraz sytuację napiętą, nastroj niepokojący, wizję bliską obłędu rozładowuje śmiechem. Śmiech, błazeńska szarża, ratuje autora od pesymistycznych właściwie wniosków, pozwala mu szczęśliwie wywikłać się z problematyki nieraz drażliwej. Kwiatkowski nie tylko wykpiwa się i ucieka, nie dając recept i jasnych drogowskazów, zaciekawia, niepokoi, drażni ambicję, pobudza do samodzielnego myślenia, konfrontacji własnych doświadczeń i dyskusji. Treść tej ciekawej książki pobudza intelekt, niepokoi nowym, nieznany typem wyobraźni.

Właściwie jest to książka podsuwająca żartobliwie genezę wszystkich ruchów rewolucyjnych, książka w której dominuje, pośród wielu zagadnień, tak pasjonujący Gombrowicz problem zależności. Srodkiem do jej uzyskania, do narzucenia tej uległości, jest propaganda, przedstawiona groteskowo w natrętnie powracających katarzynekach cyrkowych. Cyrk kojarzą nam się z tresurą, tresura z gwałtem zadawanym jednostce dla mechanicznego, zespołowego efektu. Gwałtem, wparciem gotowych sądów, zachwalaniem rozkoszy dostępnych za drobną monetą, jest działalność propagandy, na której stoi olbrzymi Lunapark. W obronie swobód jednostki, w imię niezależności małych organizmów społecznych, drobnych zrzeszeń artystycznych, przeciw przemocy systemu politycznego jaki stosuje dyktacja Lunaparku, działają groteskowa konspiracja. Zawód wykonywany swobodnie czynny i pobudza do twórczości. Te same czynności pod przymusem i nadzorem, stają się dokuczliwe i nieznosne. Kwiatkowski pokazuje nam degenerację jaką powoduje ruch podziemny, nieufność i osaczenie przez prowoka-

torów, członkowie spisku, nie mogąc zrealizować swych tęsknot, łamią się i zdradzają w chwili decydującej sprawę.

Nadrzędny, niebieski Lunapark, ma tę wyższość nad ziemskim, że można w nim być całkowicie szczęśliwym, ale tylko przy zgodności woli jednostki z wolą Boga. Dzieje się to na drodze **dobrowolnego podporządkowania**, pokory. Bóg, Niewidzialny Dyrektor, nie narzuca się, w przeciwnieństwie do opartego na tyranii Lunaparku ziemskiego, którego totalniak pełen samoudręczenia i gwałtów jest szyderczą parodią.

Wielki Dyrektor zezwala na śmierć skrzypaczki, swej córki, dumny z tej decyzji. Pycha nieomyślności pozwala mu jako kompensacja za to wyrzeczenie przeciwne naturze, żądać takich samych od podwładnych i ślepo mu oddanych Żółtych Błaznów.

Nawracający motyw propagandy, którą wydrwiwa Kwiatkowski, jest wyraźnym urazem, czy odzwierciedleniem okupacyjnych. Przeżyliśmy gwałtowny przełom, odzyskana wolność jest niespodzianym przebudzeniem z łagodnych kołysanek londyńskich. W świetle obiektywnych, historycznych skutków, wiele posunięć i ofiar ukazuje swą bezcelowość i kruchość. Przyspieszanie w nas wartościowania, podsuwanie gotowych sądów przez nową propagandę, męczy, wywołuje niepokój. Chciałoby się za Kwiatkowskiego zawołać: **Pozwólcie nam pomyśleć!** Zapytamy się instynktu narodowego, który tkwi w naszej burzliwej krwi! Tak, jak bohater powieści szuka busoli w muzyce Szopena.

Gdyby nie Szopen, gdybyśmy za niego podstawili Albeniza, powieść Kwiatkowskiego mogłaby być doskonałym metaforycznym obrazem, któregoś państwka z nad kanału Panamskiego, walczącego o niezależność gospodarczą z potęgą przemysłową USA. Jeżeli Szopen jest tym zacieśnieniem powieści do spraw polskich i naprowadza na trop jakiejś przewrotnej wizji wojny ostatniej, okupacji, stwarza pozory roman à cléf... Dyrektor Lunaparku — Hitler, Żółte Błazny — partyjnicy, wchłonięte, małe cyrki — podboje niemieckie itd. Odszyfrowywanie pozostawimy domysłom czytelników, bardziej interesujący jest dla mnie rodowód tej twórczości i sama technika pisarska, tak odbiegająca od panoszących się dziś na naszym rynku norm najbardziej mieszczańskich. Pociąga mnie bardzo wyznaczenie stosunku wzajemnego pisma uważającego się za rewolucyjne i postępowe, „Kuźnicy” do tego typu powieści, jaką ma odwagę reprezentować Kwiatkowski. Jestem pewny, że marksiści żyjący resztkami dziewiętnastowiecznego mieszczańskiego optymizmu, odzegnają się na pewno od tej na prawdę rewolucyjnej i nowatorskiej prozy. Kwiatkowski nie doradza na wszyst-

kie dolegliwości społeczne — **elektryfikacji, maszyn, wzmózonej produkcji...** Kwiatkowski nie doradza nic, i pomimo swego pesymizmu, pesymizmu człowieka, który widział powstawanie wielkich, rewolucyjnych ruchów, o hasłach klasowych i społecznych i oglądał w ciągu ćwierćwiecza ich upadek, zachowuje nadzieję. **Najbardziej ludzką nadzieję tę samą od średniowiecza, nadzieję w człowieka, który tworząc modli się i służy zarazem drugim.**

Fantastyka Kwiatkowskiego jest niepodobna do nielicznych u nas opowiadań tego gatunku, reprezentowanych przez Szulca i Truchanowskiego, odrębna od Gombrowicza, może najbliższa Witkacego. Ale ściślejszego ojcostwa trudno się dopatrzeć i to muszę podnieść, jako jeszcze jeden walor tego ciekawego debiutu.

Oczywiście „Lunapark” jest książką dla inteligentnego czytelnika, która swój cały urok roztacza dopiero przy wielokrotnym czytaniu, podobnym wtajemniczeniu. Kluczem ułatwiającym wnikięciu w zwartą wizję, jak w nieznane nam środowisko, którym rządzą inne niż fizyczne prawa, mogła by się stać scena fotografowania. Mimo introdukcji pijackiej, mającej uuprawdopodobnić zakłócenia i formowanie się odmiennego świata za oknem, na przykładzie fotografii spróbuję zanalizować typowy chwyt Kwiatkowskiego. Grupa stojąca na głowach istnieje rzeczywiście w matowce aparatu „6X9”. Autor ogranicza się do drobnego skrawka realnego, przemieszcza go na plan pierwszy, po uprzednim rozbudowaniu posuniętym aż do hiperbolizmu. Wyobraźnia jego zmierza do uplastycznienia obrazu po linii skojarzeń intelektualnych, wydziewek uczuciowych jest raczej wtórny. Hiperbolizm prowadzi konsekwentnie do rozbudowy samej akcji. Jeżeli pasażer wagonika napowietrznej kolejki nazywa się **Karpik, więc ryba, więc schwytany na haczyk księżycy i porwany w przestrzeni międzyplanetarnej.** Jeżeli Dyrektor cyrku zostaje **zabity**, to stłamszony, **rozdeptany na kilim** itd.

Przykładem najszerszej poprowadzonej spekulacji umysłowej jest rozdział ostatni, niebo. Jest to zarazem jedna z prób dość licznych w tej książce, przełamania konwenansów naszej wyobraźni. Jest uderzająca analogia między Kochanowskim, któremu można zarzucić, że uśmiercił żywy, rozwijający się samowolnie język polski, a zostawił nam literacki, i Dantem, który ustawił swoje dwa lejki, rozmieszczając na jednym zbawionych staruszków i dzieł, a dołem gryzących się potępieńców, determinując na całe wieki naszą wyobraźnię o niebie.

Kwiatkowski, nie wchodząc w kolizję z teologią, opisuje nam niebo zupełnie odmienne od tego, które znamy z literatury i malarstwa. Niebo jest einsteinowskie, skończone ale nieograniczone, ciała

uwielbione, są ciałami amebowatymi, podlegającymi deformacji zgodnie z zachciankami ich posiadaczy. Święci chętnie przybierają formy brył geometrycznych. Tego pomysłu nie poprowadził autor do ostatecznej konsekwencji, jaką byłoby nadanie Bogu formy Wszechobejmującej kuli, najdoskonalszej. Bóg u Kwiatkowskiego jest samą atmosferą, w której nurzają się dusze, w każdym razie daleki od staruszków ze złoconą ekierką nad głową, jakiego nam podsuwa prymityw kościelny. Czwarty wymiar przewija się przez całą powieść grozi i obiecuje zrealizowanie niespełnionych tęsknot.

U dna prozy Kwiatkowskiego jest rytm, jak słusznie zauważył w krótkim prośpekcie Otwinowski. Rytm ten ukazuje się wyraźniej w postaci nawrotów kompozycyjnie muzycznych, narasta całą gamą wyliczeń czasownikowych. Te pleonazmy, refreny i nawroty są chwytami, które można stosować z niezwykłym umiarem, jeśli mają być niespodzianką. Kwiatkowski nigdzie nie dał się ponieść, nie rozpiął się, każdy jego obraz, jak i cała książka, zwarta i oszczędna jest wynikiem pracy chłodnego intelektu, który dozuje, zgodnie z planem, barwy i dźwięki.

Metaforyka też nie zmierza do sprecyzowania przedmiotu porównywanego, raczej do rozszerzenia, do zaskrzenia pomysłami i erudycją. Np. „**ton czysty jak okulary przetarte irchą i jak Calderon de la Barca**”. Nawet dla czytelnika nie znającego poety, nazwisko to brzmi jak egzotyczne zaklęcie, a jeśli mu odzwieknę, to miłym przypomnieniem, jakby porozumiewawcze zmrużenie oka autora do ocytanego konsumenta.

Każdy rozdział tej krótkiej powieści jest inny. Przez część środkową przewija się wzmózony tok muzyczny, onomatopieczne oddanie szumu, gwaru, mieniących się korowodów Lunaparkowych. Dopiero niebo, zapowiadane antyfonami, zamyka całość kompozycji, ucieszeniem.

Książka ta jest uroczym fajerwerkiem dowcipu, niepokojącym i pobudzającym jak ostroga. Jako eksperyment literacki możemy ją powitać z uciechą. Gdyby jednak miała być ostatecznym osiągnięciem formalnym Kwiatkowskiego, jego drogą, mogłaby budzić zaniepokojenie, bowiem wszystko co w niej jest zachwycające przez swą jednorazowość, rozproszające jako maniera pisarska, byłoby nie do zniesienia.

Osobne omówienie należałoby poświęcić stronie graficznej książki, którą znana malarka Anna Seifert opracowała w sposób wzorowy. Zarówno okładka, wielobarwna obwoluta jak i ilustracje w tekście, są doskonałym dowodem, ile znaczą ściśła współpraca autora z artystą, dopełniającym plastyczną wizją jego słowa.

Kronika kulturalna warmijsko-mazurska

SPRAWY TEATRALNE

Dnia 18 listopada 1945 r., a więc już rok temu, Teatr Miejski im. St. Jaracza rozpoczął swą pracę na polu krzewienia kultury teatralnej w Olsztynie. Od tego czasu wiele się zmieniło. Teatr ten przeżywał dni pełne wielkich osiągnięć artystycznych oraz dni przeciętności i szarzyzny sztuk, t. zw. „kasowych”. Utwory klasyczne należące do t. zw. „wielkiego repertuaru” wymagają wysiłku ogromnego ze strony czynnika administracyjnego jak i ze strony obsady aktorskiej. W chwili obecnej nieminiejszą rolę odgrywa ten pierwszy jak i drugi czynnik. Nie mamy tu na myśli t. zw. „rentowności” teatru, gdyż ideał ten jest dla nas prawie nieosiągalny. Chodzi o coś innego. Utwory o wysokiej wartości nie będą w Olsztynie szły długo. Nie zapominajmy, że miasto to liczy tylko 42 tys. mieszkańców. Nie każdy mieszkaniec pójdzie na sztukę poważną mimo sloganów o upowszechnieniu kultury. Frekwencja w teatrach w całej Polsce maleje, natomiast w Olsztynie utrzymuje się na tym samym poziomie. Co jest tego powodem? Przede wszystkim brak innego rodzaju rozrywek kulturalnych w tym mieście. Teatr zatem musi zastąpić wszystko. I życie towarzyskie, które rozwija się słabo, i ulubione przez b. mieszkańców Warszawy odwiedzanie lokali, gdzie często gęsto były występy artystyczne, jeśli już nie dobra orkiestra. Dlatego też, żeby dogodzić publiczności, teatr olsztyński musi być wszystkim. I operetką i teatrykiem rewizyjnym i... prawdziwym teatrem.

I tak od 10 listopada idzie właśnie spektakl o charakterze operetki pt. „Podwójna buchalteria” z primadonną b. operetki lwowskiej, Rylską, na czele zespołu. W dalszym programie przewidziane jest wystawienie „Ich czworo” Zapolskiej, a następnie „Manewry miłosne”. W recenzjach prasy lokalnej zupełnie słusznie zaatakowano taki repertuar teatru olsztyńskiego. Zwrócono uwagę, że Teatr im. Jaracza pomyślany był jako placówka kulturalna, mająca w tej dziedzinie

określone i odpowiedzialne zadania. Bo, wiem teatr ten jest jedynym teatrem w województwie olsztyńskim, nie licząc teatrzyków o charakterze amatorskim, i jego rola, dobra lub zła, wybiega poza granice Olsztyna, jak pisały „Wiadomości Mazurskie”, niedawno. Nie wolno nam wobec tego naginać się do zadań publiczności, lecz wprost przeciwnie, tę publiczność wychowywać. Teatrowi im. Jaracza brak na prawdę w chwili obecnej szerszych horyzontów i ambicji artystycznych. Nawet Kurnakowicz, przybyły na krótki czas do Olsztyna, nie poprawi sytuacji, grając swą rolę popisową w sztuce „Papa Nicoluzos”, ani także „Zemsta” Fredry z udziałem K. Adwentowicza również zapowiedziana. Pragniemy ujrzeć w teatrze olsztyńskim więcej rozmachu, mniej kliszy i prowincjonalnego i mniej operetki. Słusznie też podkreślono w „Wiadomościach Mazurskich”, że o ile w całym kraju pulsuje twórcza ambicja i szlachetna rywalizacja w osiąganiu coraz wyższego poziomu. — w Olsztynie, niestety, wszystko wróży wyraźnie, że następuje dobrowolne cofanie się w tył, dobrowolne rezygnowanie z już osiągniętych pozycji, które ten teatr zdobył w ubiegłym sezonie. Ojcowie miasta, którzy mają wpływ na bieg wypadków, powinni zastanowić się nad tym faktem i wyciągnąć z niego takie konsekwencje, które uczyniłyby z Teatru im. Jaracza znowu pełno wartościową placówkę na ziemiach północno-wschodnich naszego państwa

(j. ant.)

RADIOSTACJA OLSZTYŃSKA

T. zw. prowincja wschodnio-pruska miała dwie stacje radiowe. Jedną w Królewcu, drugą w Licbarku Warmijskim. Budynek tej ostatniej ocalał, niestety, bez aparatury. Polskie Radio w Olsztynie zaczęło budować nową radiostację. Wystawiono maszt, wybudowano cztery studia. Dalsze prace zostały jednak wstrzymane na skutek braku kredytów. Dziwi nas takie stanowisko władz centralnych. Olsztyn winien mieć uruchomioną radio-

stację jak najprędzej. Za pośrednictwem radiostacji olsztyńskiej cała Polska winna wiedzieć, przez program lokalny o problemach ziem warmijsko-mazurskich.

(i. ant.)

TOW. TEATRU I MUZYKI LUDOWEJ W LICBARKU

W Licbarku Warmijskim, dawnej siedzibie biskupa Krasickiego, istnieje doskonały chór pod batutą Warmiaka prof. O. Kırcha, którego występy na uroczystościach państwowych i narodowych wyrobiły mu doskonałą reputację. T. zw. „Chór Warmijski” z Licbarka jest niezwykle pozytywnym wkładem w szerzenie pieśni ludowej na tym terenie.

Prócz tego działa tam zespół amatorski, który zdołał już wystawić „Zemstę” Fredry oraz „Sąd nad Latarnikiem” Ilońskiego, a ostatnio widowisko teatralne pt. „Żołnierz Polski w walce o Niepodległość”. Kierownikiem zespołu jest W. Wieliczko, który wkłada w swą ukochaną placówkę wiele energii i poświęcenia.

(j. ant.)

ZYCIE MUZYCZNE

Przy ul. Nowowiejskiego w sali Towarzystwa Muzycznego w Olsztynie pod kierunkiem dyr. Dąbrowskiego rozpoczął się sezon muzyczny na skalę na prawdę poważną. Pierwszą „środek” muzyczny zainaugurował skrzypek Witold Nowacki, uczeń Dubiskiej. W programie był Vieuxtemps, Młynarski i Wieniawski w doskonałym wykonaniu tego wirtuoza. Niemniej cenny był występ dyr. Dąbrowskiego, tego niezwykle cennego organizatora wszystkich poczynających muzycznych na terenie Olsztyna. W jego wykonaniu Szubert, Beethoven i Mozart byli na niezwykle wysokim poziomie artystycznym.

Niemniej cennym występem był popis Poznańskiego Kwartetu Smyczkowego. Poza wyjazdami na prowincję (zespół bowiem koncertował w Ostródzie, Morągu i Licbarku). Kwartet brał udział w całym szeregu imprez muzycznych na terenie Olsztyna do audycji muzycznych dla szkół olsztyńskich włącznie. W progra-

Tydzień Katowic

5. XII. — 31. XII.

ZYCIE LITERACKIE I NAUKOWE

14. XII. W ramach cyklu wykładów w zorganizowanym przez oddział Zw. Zaw. Literatów Studium Literackim prelekcję o współczesnych kierunkach poetyckich wygłosił Julian Przyboś.
16. XII. odbył się 12-ty (40-ty) wieczór klubu literackiego pod ogólnym tytułem: **Boże Narodzenie w poezji i muzyce**. Wykonawcami programu byli: Bukowski Ryszard (prelekcja), Doleżałówna Dorota (śpiew), Kański Tadeusz i Smyczyńska Maria (fortepian), Staich Tadeusz (recytacja) i Widera Aleksander (prelekcja).
21. XII. Odbył się trzeci z rzędu wieczór wykładów w Studium Literackim. Prelekcję pt. „Jak Mickiewicz pisał wiersze” wygłosił prof. Stanisław Pigoń.
23. XII. W sali posiedzeń MRN odbyło się uroczyste wręczenie Nagrody Literackiej miasta Katowic Wilhelmu Szewczykowi. Po zagajeniu przewodniczący sądu konkursowego wiceprezydent miasta ob. Sobol podał motywy, którymi kierowano się przy przyznaniu nagrody. Na zakończenie uroczystości przemówił laureat, poczym wszyscy obecni wpisali się do Księgi Pamiątkowej.
28. XII. W ramach Studium Literackiego prelekcję pt. „Rodzaje stylów literackich” wygłosił Marian Promiński.

ZYCIE MUZYCZNE

13. XII. Odbył się Koncert symfoniczny Filharmonii Państwowej. Orkiestrą dyrygował Witold Krzeniński. Solistą koncertu był Stanisław Szpiński. Program zawierał utwory: Mussorgskiego — uwertura „Świt nad rzeką Moskwą”, Chaczaturiana — koncert fortepianowy i C. Francka — Symfonia d-moll.
15. XII. Odbył się pierwszy ogólnopolski zjazd delegatów Bratnich Pomocy Państwowych Wyższych Szkół Muzycznych z Warszawy, Poznania, Łodzi, Krakowa i Katowic.
16. XII. W wystawionej przez Operę Śląską bizetowskiej „Carmen” gościnnie wystąpił Jerzy Garda wykonując partię Escamilla.
19. XII. W Państwowym Teatrze Śląskim odbyła się Katowicka premiera opery Puccini’ego „Cyganeria”. Partię tytułową śpiewała J. Lachetówna. W dalszych spektaklach partię Mimi śpiewa na zmianę z Lachetówną Wiktoria Calma.
22. XII. W ramach niedzielnego koncertu popularnego Filharmonii odbył się koncert kołędowy. Orkiestrą dyrygował Karol Rund. W koncercie wystąpił również chór męski „Echo”. Wykonano utwory: Świerzyńskiego, Moniuszki, Runda, Paderewskiego, Wallek-Walewskiego i innych.

INNE IMPREZY TEATRALNE

14. XII. Przybyły na zaproszenie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej Teatr Muzyczny wystawił operetkę Frimmla — „Rose Marie”.
14. XII. Nastąpiło otwarcie Szkoły Dramatycznej przy Państwowym Teatrze Śląskim.

Saóldzielnia Wydaw. „Książka”

Nowości

MAKARENKO ANTONI

Poemat pedagogiczny

3 tomy — z ł. 570.—

LEŚMIAN BOLEŚLAW

Wybór poezji

z ł. 210.—

FRIDMAN F. — HOŁUJ T.

Oświecim

z ł. 300.—

„ K S I A Ż K A ”

Kto farbuje materiały barwnikiem

„ORION”

jest zadowolony z koloru i jakości

Składnica Fabryczna

Katowice, ul. Starowiejska 3

Nr tel. 354-64

nie był Czajkowski i Jarecki, a zwłaszcza d-moll Szuberta, kwartet osnuty na tle pieśni „Śmierć i dziewczyna”. Prócz tego można było usłyszeć T. dur Dworzaka oraz szereg utworów Beethovena i Szymanowskiego.

Następna środa poświęcona była twórczości J. Kasprowicza. W wieczorze tym oprócz prelegenta brali udział recytatorzy utworów poetyckich tego wielkiego poety.

(j. ant.)

Sprawy teatru

„Homer i Orchidea“ w Gdyni

Tę poetycką wizję dawnej Hellady — stworzoną przez młodego i uzdolnionego poetę polskiego Tadeusza Gaycy'ego w krwawych dniach młodej wojny — wybrał Iwo Gall na otwarcie sezonu Teatru „Wybrzeże“ w Gdyni i na inaugurację publicznych występów swego młodego zespołu, a ponieważ i sztuka pierwszy raz weszła na scenę, była to prapremiera we wszechstronnym tego słowa znaczeniu.

„Homer i Orchidea“ — to ludzkie dzieje wybrańca bogów. Homer jako dziecko w chwili ciężkiej choroby, ofiarowany jest przez matkę Apollinowi, w zamian za darowanie mu życia. Apollo przyjmuje ofiarę, ale pod warunkiem, że w 21 roku życia, tzn. w dniu pełnoletności, Homer uda się do jego świątyni i odda mu się na służbę. Gdy ta chwila przychodzi, Apollo-Słoneczny wprowadza go w swój boski krąg mistyczny, ale otwierając mu oczy duchowe na świat — zwyktemu śmiertelnikowi niedostępny — zabiera mu wzrok fizyczny. Bezkarnie w blask słońca patrzeć nie wolno. Oto tragedia pełna głębokiej logiki człowieka — poety. Ale cena, którą płaci Homer za dar wiedzy, nie jest jednym tylko cierpieniem: zostaje także wygnany z rodzinnej wyspy, wraz z młodą żoną Orchideą w dzień burzy na małej łodzi, a więc niemal na śmierć skazany przez rodaków. Po 30 latach tułaczki i po wyspiewaniu przez niego najcudowniejszych rapsodów — przybywa poselstwo z Chios do wygnanców. Brat Hippiasz, wysłany przez rodaków, wzywa ich do powrotu. Otwiera się przed nimi upragniona i wytęskniona ojczyzna, ale Orchidei nie dano już wrócić, umiera — pogrążając męża w jeszcze jedno cierpienie.

Autor ukazuje nam wieszca od strony jego człowieczeństwa.

Równoległe do historii Homera — biegnie historia Orchidei — współbohaterki dramatu. Jej tragedią jest tragedia męża, którego bezgranicznie kocha i którego cierpienia odbijają się w niej jak w zwierciadle. Poza tym rozgrywa się w jej duszy jej własny dramat religijny: Zachwianie wiary w boga niewysłuchującego jej prośb serdecznych o odwrócenie zła od Homera, a dramat ten objawia się buntem i wytryska z jej ust bluźnierstwem. Za to poniesie karę: sprowadza na siebie i kochanego męża wyrok wygnania, a po 30 latach tułactwa umiera, nie osiągnąwszy celu swych tęsknot.

Dualizm doskonale ząbiebiających się ze sobą tragedii i mocno splecionych przeżyć nie wychodzi pod koniec sztuki korzystnie dla jej konstrukcji i zaciemnia obraz ostatni. Śmierć Orchidei nie może być karą na obrazie Słonecznego. 50 letnia kobieta przeżyła już swoje życie. Jeśli karą ma być niezaspokojenie tęsknoty u wrót niemal ojczyzny, wychylającej się z dali w przedśmiertelnych wizjach, to zauważyć trzeba, że ostrze i tej kary jest zbyt późnione, aby mogło być przekonujące. Może autor dał w tej ostatniej scenie wyraz własnym tęsknotom, rodzącym się w czasie bezobjawianym — ciężkiego najeźdu germańskiego, lecz i ten, zrozumiał zresztą powód, nie rozgrzesza go od wprowadzenia nowego pierwiastka emocjonalnego do sztuki, opartej o inne motywy i paczenia tym samym jednolitej konstrukcji.

Śmierć Orchidei jest jakby epilogiem, dalekim podzwonem, zakończeniem cyklu przez zgaśnięcie... śmierć. Takie ujęcie tekstu podkreślone jest przez samego reżysera wprowadzeniem na scenę niemej postaci w ciemnym welonie Ananke, albo Melei, która powoli gasi obie świece przed posązkami Apollina.

Oto co nasuwa się nieodwołalnie czujnemu i przeżywającemu dramat sceniczny — słuchaczowi, ale jeśli odetniemy ową 5-tą odsłonę, albo przed nią wyjdziemy z teatru — zadawałając się ostatnim obrazem śpiewającego rapsod Homera, będziemy bez przerwy kosztowali wzruszeń estetycznych najwyższej klasy dzięki genialnej współpracy inscenizatora i reżysera z autorem. — Zdawałoby się, że na przekór temu, co chciał przedstawić autor: człowieczy żywot wieszca — Gall wystylizował sztukę na scenie, nie zniżając jej do realizmu. Tą jednak właśnie interpretacją, doskonale przystosowaną do naszych mglistych, poetycznych wyobrażeń o dalekiej, słonecznej i pięknej Helladzie — podniósł sztukę na poziom surrealistycznej poezji i czaru, a przenosząc realne cierpienia w ów świat przez nas czczony i podziwiany, wywołuje właśnie uczucie oczekiwane i zamierzane.

Stylizując sztukę plastycznie, Gall wkłada niemal w dziedzinę baletu, w tym znaczeniu, że nieustannie komponuje skończony i pełny obraz na scenie.

Nie tylko obraz plastyczny jest doskonałym osiągnięciem artystycznym inscenizatora — trzeba także podkreślić wysokie walory dykcji.

Motywy muzyczne kompozycji Eugeniusza Dziewulskiego wplatają się w nurt

dramatu zawsze celowo, wzmacniając wybitnie wzruszenia estetyczne np. w momencie burzy na morzu, zerwania struny w formidzie przez Orchideę, wyspiewu Homera i inne.

A wszystkie te elementy: obrazu plastycznego, dykcji, mimiki i muzyki dlatego składają się na całość tak zwartą i zespoloną, że ożywia je głębokie zrozumienie myśli autora i pełne przeżycie wewnętrzne oddających rzecz aktorów. I choć ich prawie trudno z całości wyodrębnić, tak są w nią mocno wbudowani, nie mniej dźwigają na sobie odpowiedzialność za cały poziom sztuki scenicznej i trzeba przyznać, nie zawiedli naszych oczekiwań, byli tym właśnie czegośmy się od nich w tej sztuce spodziewali. Jednym słowem byli na



Iwo Gall

swym miejscu, a to jest najwyższe uznanie.

Należałoby chyba wymienić wszystkich artystów, tak gra każdego z nich była żywa, odrębna indywidualnością, przemysłana i przeżyta, a spojona w całość sztuki.

Dekoracje doskonale zsynchronizowane ze sztuką i stylem inscenizacji, stanowiąc jej konieczne tło, były najefektowniejsze chyba w odsłonie 2-giej świątyni z posagiem imponującym bóstwa. W innych odsłonach dominowały efekta białoniebieskie odtwarzające na zawsze w naszej pamięci czy wyobraźni lazury Hellady z odcinającymi się na jego tle białymi marmurami z Pentelikonu.

Amelia Łączyńska



M. Maciejewski jako Homer

Z Opery Dolnośląskiej

Straszny Dwór Opera w 4 aktach z prologiem Stanisława Moniuszki. Słowa J. Chęcińskiego. Premiera we Wrocławiu 18. XII. 1946.

Straszny Dwór, najbardziej polska ze wszystkich oper Moniuszki, a zarazem szczytowe osiągnięcie jego twórczości, zrodziło się ze wspomnień dziecinnych kompozytora.

W Smielowicach, w sąsiedztwie Ubiela rodzinnej wioski Moniuszki, znajdował się stary zamek książąt Ogińskich. Tam to Moniuszko słuchał z nabożnym skupieniem kurantów starego zegara i opowieści grzybiatego sługi o walecznych czynach przodków właścicieli zamku.

W rodzinnym domu Moniuszki śpiewano wieczorami „Śpiewy Historyczne“ Niemcewicza. Motywy tych „Śpiewów“, a szczególnie pieśni, do których muzykę napisał Kurpiński, głęboko zapadły we wrażliwą duszę kompozytora Halki, by znaleźć odzwierciedlenie w prologu „Straszego Dworu“.

Na kanwie wspomnień Moniuszki osnuł libretto Jan Chęciński. Libretto, jak twierdzi sam kompozytor, „słabe scenicznie“, ale Moniuszko dłuższy tekstowe potrafił do tego stopnia wynagrodzić temperamentem muzycznym i błyskotliwością harmonii, że powstała opera przewyższająca popularną Halkę jednolitością stylu i jednością melodyki.

Dyr. Stanisław Drabik inscenizujący i reżyserujący „Straszny Dwór“ na scenie wrocławskiej poszedł przede wszystkim w kierunku wydobycia najistotniejszych wartości tej opery, t. j. ryterskości i tężyzny narodowej. Symbolem tej koncepcji było obramowanie obrazu scenicznego tkaniną zdobycznego namiotu i fragmentami uzbrojenia.

Nie odrzucając tradycyjnych założeń schematu scenicznego wniósł reżyser dużo śmiałych nowości. Wyraźnie od szablony odbiegały sceny grupowe, plastyczne, przekonywujące w ruchu i ożywiające (szczególnie w IV akcie) dłuższy libretto. Odstępstwem od tradycyjnych form, było też ubranie towarzyszek córek Miecznika w stroje ludowe. Jeżeli nawet było to potraktowane trudnościami kostiumowymi, to nie odbiegało od stylu epoki i dobrze podkreślało patriarchalne stosunki panujące na ówczesnych dworach. Natomiast wprowadzenie regionalnych ubiorów z różnych dzielnic polski do finału IV aktu, mimo szlachetnej tendencji, jest artystycznie nieusprawiedliwione.

Soliści opery wrocławskiej, to przeważnie młodzi, wybijający się dopiero śpiewacy.

Robert Sauk (Zbigniew), którego ujrzelśmy po raz pierwszy we Wrocławiu, zdobył sobie od razu naszą publiczność miłym brzmieniem dobrze postawionego

głosu, inteligentną frazą, niezwykle swobodną grą i nadzwyczaj ujmującą aparacją.

Marian Woźniczko, dobrze już zapowiadający się w roli Germonta w Traviacie, jako Miecznik rozwinął całą skalę swego talentu. Poloneza w II akcie odśpiewał z umiarem, umiejętnie operując swym pięknym, wielkim głosem.

Władysław Szeptycki miał szczególnie trudne zadanie. Partia Stefana jest tak popularna i wykonywała ją tylu znakomitych tenorów, że nielato w niej zadowolić słuchaczy. Mimo to Szeptycki dobrze wywiązał się ze swego zadania.

Nieskazitelną pianą zareprezentowała w „dumce Jadwigi“ Hrabia-Szałkiewiczowa. Waleria Jędrzejewska nie mogła wprowadzić wyказаć swych umiejętności śpiewających w mdłej partii Hanny, z przyjemnością jednak słuchaliśmy jej świeżego głosu, nawet w tych nielicznych odezvaniach, jakimi Moniuszko obdarzył tę rolę.

Alfred Czopek (Damazy) ma wrodzoną „vis comica“. Pozbawiony jej był niestety Maciej. Nie pomogą walory głosowe przy karykaturalnie potraktowanej postaci.

„Skołuba“ Zygmunta Bilińskiego, dobry w charakterystyce i zabawny w dobrze odśpiewanej arii „zegarowej“. Irena Kudelska wyglądała ładnie, ale niezbyt starannie odśpiewała partię Czesnikowej. Nagler-Godlewska w epizodach Marty i Starej Niewiasty wykazała dużą kulturę śpiewaczą i sceniczną.

Orkiestra, a szczególnie chóry pod dyktando Stefana Syryły brzmiały pełnie i jednie. Barwnie i niestereotypowo ułożony przez Z. Patkowskiego mazur w wykonaniu Z. i K. Patkowskich, oraz kilkunastu-osobowego baletu, został we wrocławskiej inscenizacji wykonany jako finał opery. Przy pozornie nieskrępowanym ruchu całego zespołu baletowego, co stwarzało wrażenie nieskoordynowania elementów, taniec ten był precyzyjnie obmyślany i swobodny technicznie. Dekoracje Jędrzejewskiego i Langego bogate i ciekawie skomponowane.

„Straszny Dwór“ w wykonaniu Opery Dolnośląskiej jest widowiskiem stojącym na poziomie godnym tak drogiego nam dzieła. Byłoby pożądanym, aby to przedstawienie zobaczyły i inne miasta polskie, gdzie ciągle jeszcze panuje przekonanie, że Wrocław jest miastem nie mającym swego oblicza teatralnego. Ostatnie spektakle Teatrów Dolnośląskich i Opery Dolnośląskiej są najlepszą miarą wysiłków i osiągnięć na tym polu, a najlepszą rekompensacją dalszego powodzenia są widownie wypełnione codziennie przez publiczność, rekrutującą się z najszerzych warstw społeczeństwa.

Wojciech Dzieduszycki

Glossy i notatki

O PUSTYCH BIBLIOTEKACH

Posiadamy w Polsce 1844 bibliotek powszechnych o 2.400.000 tomach. Posiadamy zatem zaledwie 19% przedwojennego stanu książek; i kiedy przed wojną średnio przypadał jeden tom na 5 mieszkańców, to obecnie jedna książka przypada na 11 mieszkańców. Wśród bibliotek powszechnych rozróżniamy biblioteki samorządowe, organizacji społecznych, zakładów przemysłowych dochodowe i inne. Zakłady przemysłowe posiadają 85 bibliotek, zawierających 40.000 tomów. Znikoma to liczba, jeśli zważymy, że n. p. przedwojenna „Nasza Czytelnia“, utrzymująca biblioteki po kopalniach śląskich, operowała pięciokrotnie wyższą liczbą książek. Ciekawe wyniki daje klasyfikacja bibliotek samorządowych, których posiadamy 372:

114 biblj. powiatowych	— 157.000 tomów
131 „ wiejsk.	— 36.000 „
127 „ miejsk.	— 864.000 „

Jakże niska jest zatem przeciętna liczba tomów bibliotek samorządowych. Gdy biblioteki miejskie „pyszną się“ jeszcze cyfrą 7 tysięcy tomów, to powiatowe mają już tylko 1370 a wiejskie osiągają zaledwie cyfrę 270 tomów przeciętnie.

Puste szafy biblioteczne w świetlicach, na wsi i mieście zapełniają się powoli. Ustawa biblioteczna dotąd nie daje jeszcze specjalnego powodu do radości. Kiedy znowu będą szafy pełne książek? Czy nastąpi to po ogólnej poprawie gospodarczej, czy też dopiero po zwycięstwie idei powszechnej oświaty? Ste.

SPÓR O HESSEGO

Rozwinął się małeńki spór o zeszłorocznego laureata literackiej nagrody Nobla: Czy Hesse jest Niemcem czy też Szwajcarem. Zajęło w tej sprawie stanowisko i „Odrodzenie“, które uważa Hessego raczej za Szwajcara. Oddajmy zatem głos Niemcom i samemu Hessemu.

Wszyscy niemieccy historycy literatury od Naglera, wychodzącego od założeń socjologicznych po hitlerowskiego Franza Kocha, poprzez Storcka i Mahrholza uważają zgodnie, że Hesse należy do literatury niemieckiej nie przez język, którym pisze, ale tematykę i ducha swej twórczości. Koch jeszcze podczas minionej wojny stwierdza z zalem w swojej „Geschichte deutscher Dichtung“, że Hesse wprawdzie oddalił się od narodowości niemieckiej, ale jest pisarzem niemieckim, wrośniętym w ziemię niemiecką i jej losy.

„Odrodzenie“ pisze, że Hesse już w roku 1914 wyparł się na zawsze Niemiec jako swej ojczyzny. Dlaczegoż zatem, o czym „Odrodzenie“ nie wspomina, w roku 1921 bierze udział w proteście kilkudziesięciu pisarzy niemieckich, przeciwko aneksji części Górnej Śląska „prastarej ziemi niemieckiej“ przez Polskę. Literatura szwajcarska uważa Hessego jedynie za osiadłego na jej ziemi Niemca. Hesse był zresztą przez cały czas wielkim samotnikiem, nie biorąc udziału ani w szwajcarskim ani w niem. emigracyjnym ruchu literackim.

Na marginesie warto zaznaczyć, że w jednym tylko piśmie polskim analizowano dokładnie twórczość Hessego na tle innych kandydatów do zeszłorocznej nagrody Nobla. Mianowicie Hieronim E. Michalski w „Głosie Ludu“ nr. 330 pisze o „dwuznacznym wyróżnieniu słabego pisarza niemieckiego“ stwierdzając: „Hermann Hesse jest jeszcze jednym przedstawicielem nieprzebrzmiałego, niestety, dotąd kierunku psychologizowania w literaturze, biorącego swe źródła z filozofii Bergsona, psychoanalitycznych teorii Freuda i ulubionego mistrza Hessego — Klagesa. I dalej: „Brakuje mu nowatorstwa, jakie pokazał Joyce, subtelności i wynalazczości, jakie ma Gide, tytanizm, jakie ze swoich indywidualistycznych tematów wykreślał Conrad (który umarł, nie uzyskawszy nagrody Nobla — dop. nasz). Twórczość Hessego jest nie tylko aspołeczna, a tym samym amoralna, ale również rozkładowa“. wisz.

ONOMATOPEISTYCZNA GRAFOMANIA

Tużim zapoczątkować swoim wierszem „Śląsk śpiewa“ niebezpieczną onomatopeistyczną grafomanią na temat Śląska. Od tam każdy, kto pisze wiersz o Śląsku, usiłuje naśladować dźwięki maszyn, świst windy, i jeszcze Bógwico. W ten sposób podaje się największą nieprawdę o Śląsku, gubi się człowieka, którego Tużim zawarł w pustym choć buńczucznym „śląskim pierony!“.

Skończmy z tym, panowie literaci. Jeśli nic innego nie widzicie na Śląsku, tylko te udźwiękowioną industrializację, to źle. Zagłębujcie raczej do starych, ale jarych wierszy górniczych Niemojewskiego, który umiał się dosłuchać innych dźwięków, tych z duszy. Albo posłuchajcie wiersza Pawła Kubisa, gdzie buntuje się człowiek a nie maszyna, gdzie szumi serce górnika a nie serce maszyny.

Pięknie zamknąć oczy i słuchać na akademii onomatopeistycznych bzdur, ale wierzcie mi, one kłamią. I dlatego należy je tępić.

Nasunęły mi się te uwagi po przeczytaniu „wiersza“ p. t. „Żelazo i stal“ w 13 n-rze „Metalowca“, na szczęście niepodpisanego.

Brzym.

Wśród czasopism

Tygodniki literackie przyniosły z okazji świąt Bożego Narodzenia obfitą i na ogół interesującą lekturę swoim czytelnikom. Z grona tego wyłamała się tylko „Kuźnica”, która wydała na 24 grudnia numer zwyyczajny, manifestując w ten sposób swoją postawę światopoglądową i stosunek do chrześcijańskiej tradycji. A taki bojkot miewa potem nieoczekiwane następstwa w literaturze w rodzaju tych, że np. w sztuce konsekwentnego aż do przesady marksisty pt. „Wielkanoc” goście dławia się przy święconym osi z ryby. Zresztą nie jestem pewien, czy redaktorzy, którzy nie chcą stwarzać pozoru respektowania świąt chrześcijańskich wydaniem specjalnego numeru, są równie konsekwentni w bojkotowaniu innego zwyczajnego świątecznego, mianowicie t. zw. przyjęć świątecznych.

Tak się jednak złożyło, że „Kuźnica” wydała jednak na 24 grudnia numer, który się wyróżnia. To wyróżnienie sprawia artykuł wstępny Jerzego Borejszy, publicysty, który odzywa się rzadko, ale zawsze w sposób zwracający uwagę. Dotychczas obdarzał swym artykułem od czasu do czasu „Odrodzenie”, teraz widocznie przeniósł się do „Kuźnicy”, co niewątpliwie wyjdzie pismu na korzyść, bo nareszcie w zakresie publicystyki będzie tam można przeczytać coś nowego a nie wiecznie te same, pisane w myśl zasady „w koło Macieju” wywody Żółkiewskiego, który nigdy nie usiłuje czytelnika przekonać, lecz zawsze podaje mu prawdy już gotowe, sformułowane na wzór prawd ewangelicznych, każąc w nie wierzyć jak w ewangelię. „Obrachunki na węzłowej stacji” Borejszy to artykuł na prawdę świąteczny. Jego wywody nie jętrzą, nie napastują, nie szarpia, jego postawa jest konsekwentna, ale nie ekskluzywna. Borejsza określa nowy typ kultury, jaki się w Polsce tworzy, i stwierdza, że nie może to być kultura śródomiastowa, odrzuca koncepcję „proletkultu”. Potrzeby proletariatu polskiego muszą być włączone w kompleks potrzeb ogólnonarodowych. Proletariat nie chce sobie przywłaszczać praw wyłączności narodowej, jak to niegdyś czyniła szlachta, ale w nadchodzącej epoce chce być w narodzie warstwą przodującą, tak jak nią była szlachta a potem mieszczaństwo. Piszcie dalej Borejsza: „Powstanie w ciągu lat najbliższych nowa inteligencja, która wspólnie ze starymi kadrami tworzyć będzie zręby nowej kultury. Ta inteligencja musi szukać również i nadbudowy ideologicznej naszych czasów. Należy ubolewać, że dyskusje, jakie toczą się na łamach naszego czasopiśmiennictwa, powierzchownością traktowania zagadnień, ucieczką przed sprawami węzłowymi nie sprzyjają powstawaniu tej nadbudowy ideologicznej. W przeciwnym razie do pozytywizmu nie rezygnujemy z żadnych dociekań ideologicznych, z żadnych zagadnień w dziedzinie filozofii... Obustronne popisywanie się nieznajomością ideologii przeciwnika, jakie obserwujemy w niektórych publicznych dyskusjach między

katolicyzmem, a częścią lewicy polskiej nie może się przyczynić do kształtowania nadbudowy ideologicznej tego, „co nazywamy polską drogą przemian”, polską drogą przeobrażenia struktury kraju”.

Artykuł ten wygłoszony był przez autora jako odczyt inauguracyjny Wieczorów Zachodnich organizowanych przez Instytut Śląski we Wrocławiu. Kończy go Borejsza ciekawą przepowiednią: „Jestem głęboko przekonany, że kolebką (tworzącą się nowego typu kultury) będzie ośrodek wrocławski, gdzie w najczystszej formie powstaje nowy typ gospodarki polskiej, gdzie społeczeństwo rozumiało i przełamało rozbieżności w sporach z ideologią dnia wczorajszego, gdzie pracownicy kultury wyzwolili się z przestarzałych nawarstwień i pewnych filisterskich narowów innych ośrodków kulturalnych w Polsce”.

W ostatnim zeszłorocznym numerze „Kuźnicy” na dzień 31. XII. również zwraca uwagę artykuł wstępny pióra Jana Kotta „Dzieje Anny”. Kott charakteryzuje położenie młodzieży polskiej, która bezpośrednio ze szkół średnich weszła w okres wojny i konspiracji oraz wskazuje, jak stało się, iż część tej młodzieży pozostała w podziemiu po roku 1945. Stwierdza, że wśród młodzieży konspiracyjnej nie ma zbrodniarzy, że są ludzie obalamuceni i oszukani. Wszystko to naprowadza Kotta na wniosek, że należy raz jeszcze dać możność ujawnienia się tej części młodzieży, która pozostając w podziemiu nie zatraciła uczuciowości i pragnie zaprzestać walki przeciwko Polsce.

Ton i sens artykułu Kotta dziwnie kłóci się z harcami polemistów „Kuźnicy” na ostatniej stronie, gdzie pod adresem Jana Nepomucena Millera pisze się m. in.: „Droga do PSL jest otwarta, prosimy panie Miller! Trzy czwarte tej drogi już pan uszedł...” Albo — z racji recenzji Stefana Lichańskiego z tomu poezji Seweryna Polaka, recenzji, która nie wykazała wymaganej przez „Kuźnicę” dla członka swego zespołu entuzjasmu, krytyk ten zmieszany został z błotem i wysłany pod tym samym adresem, co Miller. Dziwnie to wszystko niepoważne. „Kuźnica” zaczyna się stawać coraz wyraźniej rozsądnikiem dziwnych metod w wystąpieniach literackich, stosując systematycznie metodę wynoszenia pod niebiosa swoich przyjaciół politycznych, członków swojego zespołu i ich żon przy równoczesnym wręcz nieprzychylnym krytycyzmowi w ocenach ludzi z ich obozem niezwiązanych. Czy tak się realizuje głoszone przez Żółkiewskiego ideały kulturalne marksizmu?

Nr. 50/51 „WSI” wskazuje, że redaktor tego tygodnika ma zamiar wznowić zwyczaj stałego pisywania nieciekawych artykułów wstępnych, ale w całości jest interesujący, chociaż materiał jest dosyć skąpy, bo zawarty w kilku potężnych rozmiarach artykułach czasem zupełnie niewspółmiernych objętością do ważkości treści. Poza opracowaniem ankiety „Jakiej powieści chce dzisiaj wieść” na uwagę zasługuje portret literacki zmarłego rok temu doskonałego poety Stanisława Ciesielczuka pióra Adama Szczerbrowskiego, interesująca i w wielu ujęciach trafna recenzja Stefana Lichańskiego z książki Żukrowskiego „Z kraju milczenia” oraz zbyt obszerne wywody Zygmunta Kałużyńskiego o schillerowskiej inscenizacji „Krakowiaków i górali”.

Świąteczny numer „ODRODZENIA” nie wyróżnia się niczym specjalnym z długiego szeregu numerów normalnych, szarych i trochę anemicznych, poza naturalnie objętością. Materiału zawiera dużo, jest to materiał poważny i solidny, ale dziwnie mało pociągający. Mam wrażenie, że wielu ludzi raczej przegląda „Odrodzenie”, niż je czyta. Pismo to przypomina mi „Pion”, którego nigdy nie czytało się od deski do deski.

„TYGODNIK POWSZECHNY” potraktował numer świąteczny zbyt okolicznościowo, ale ma również i pozycje interesujące. Do nich należy artykuł Wacława Borowego, wskazujący na możliwości rehabilitacji ks. Baki dzięki zapomnianemu odkryciu Stan. Estreichera z 1936 r., do rzadkich bardzo ciekawostek należą publikacja przez Stan. Pigonia nieznanego krótkiego autografu Słowackiego. Jerzy Waldorf w artykule „Ziemie tragiczne” pisze o zniszczeniach zabytków kultury i sztuki na ziemiach Śląska i Pomorza. Artykuł zawiera liczne ilustracje, przepojony jest głęboką troską o los tych zabytków a w konkluzji zwraca się z apelem do władz, by część wpływów z Daniny Narodowej była przeznaczona, jeśli nie na odbudowę to przynajmniej na konserwację i zabezpieczenie tych zabytków, które dadzą się jeszcze uratować.

Poza podwójnym numerem „ARKONY”, który warto omówić osobno, z Pomorza z okazji świąt otrzymaliśmy wznowioną „ZRZESZ KASZEBSKĄ”, która została zawieszona przed kilku tygodniami. Pismu temu stawiano nie zawsze słusznie zarzuty o szerzenie separatyzmu kaszubskiego.

Co robią Niemcy

W dziedzinie polskiego niemcoznawstwa mamy do zanotowania dwie nowe pozycje książkowe, wydane przez czujne i ruchliwe Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu. Wydańnictwo to rozpoczęło wydawać cykl „Świat o Niemcach i Niemcach”, którego pierwszy zeszyt, wydany w tych dniach nosi tytuł „Tęsknota za mieczem” (Poznań 1946, stron 77).

Wspomniany cykl jest wynikiem uchwały Pierwszego Zachodniego Kongresu Dziennikarzy, odbytego w dniach 16 i 17 marca 1946 w Poznaniu, domagającej się pilnej obserwacji zagadnienia niemieckiego i jej pogłębiania. „Tęsknota za mieczem” zawiera materiały, złożone z głosów prasy światowej z ostatnich kilku miesięcy na temat Niemiec współczesnych. Wydawnictwo apeluje do czytelnika, by z tej mozaiki głosów umiał zbudować własny obraz Niemiec, obraz najbardziej, o ile to możliwe, zbliżony do prawdy. Ten pierwszy serwis, aczkolwiek ze wszechmiar ciekawy, zawodzi jednak pod tym względem. Redakcja pragnęła nam pokazać kolejno, jaki jest stosunek poszczególnych zwycięskich narodów do Niemiec. W serii doskonale dobranych wycinków z prasy światowej udało jej się ten cel osiągnąć. Szkoda oczywiście, że brakuje tu szczególnie markantnych wycinków z prasy polskiej, aby w tym koncercie światowym pokazany był także i nasz głos. Sądzę, że znalazło by się parę ciekawych głosów prasy polskiej na temat Niemiec, odbiegających w zasadzie od obcych. Takie uzupełnienie też ułatwiło by czytelnikowi „zdrowe wycucie interesów naszego własnego państwa i narodu”, czego pragnie wydawnictwo. Jak fałszywie bowiem to zdrowe wycucie się objawia, o tym świadczą niektóre polemiki z rewelacyjnymi „Sprawami Polaków” Osmańczyka, ogłaszanymi niedawno w „Przekroju” a wydanymi ostatnio w osobnej książce. W każdym razie, jeśli tego redakcja nie uczyniła w pierwszym zeszycie, sądzę, że dobrze by było, by jeden z następnych zeszytów poświęciła wyłącznie powojennym wypowiedziom polskim o sprawie niemieckiej, zwłaszcza, że obok ślepoty i śmieszności w wielkiej polityce zaciętrzewienia nie brak tu głosów nowatorskich, jak wskazuje chociażby przykład Osmańczyka.

Przyznam się jednak, że ten pierwszy zeszyt serii pod takim samym tytułem wyobrażał mi się nieco inaczej. Moim zdaniem należało dopuścić do głosu jak najobszerniej samych Niemców. Cenzura w Niemczech jest dość łagodna i prasa niemiecka podaje często arcyciekawe artykuły o stosunku współczesnych Niemców do ich niedawnej przeszłości, do innych narodów, do przyszłości. Tęsknota za mieczem przejawia się przez te wszystkie wyznania grubym ściąganiem i w ten sposób powstaje autentyczny obraz duszy niemieckiej, taki sam jaki na okładce omawianej broszury namalował dowcipny Al. Krakowski: Lekarz, noszący norymberskie okulary Hansa Franka, pokazuje zdjęcie roentgenologiczne szerokościerzącego Niemca i na czarnym tle serca ukazuje się foremna, fabryczna, standardowa swastyka.

O tym, co myślą Niemcy, dowiadujemy się w omawianej broszurze z dłuższego cytatu brytyjskiego pisma niezależnego „The Fortnightly”. Cytat ten za mało omawia jeszcze imponderabilii, w których zawiera się istotna treść procesu myślowego Niemców. Na syntezę bowiem jest za wcześnie, na syntezę o narodzie, który wciąż jeszcze żyje w gorączce.

Na szczęście moc imponderabilii znajdziemy w drugiej książce Wydawnictwa Zachodniego. Autor ukrywający się pod mianem Peregrinus napisał nadzwyczaj przyjemną w czytaniu książkę „Miasta niemieckie dzisiaj” (Poznań 1946, stron 99). Odbijamy tutaj wędrówkę po wszystkich czterech strefach, odwiedzając największe lub najcharakterystyczniejsze ich miasta. Przyznać trzeba, że autor w istocie uchwycił najciekawsze i najważniejsze elementy życia, odbudowy i planowania w dzisiejszych miastach niemieckich. Berlin żyje prawie tak, jak by nic się nie stało — pisze autor. Baden-Baden nazywa miastem, które zrobiło karierę — w Stuttgartzie znów odrodziła się romantyczna metropolia Wirttembergii. I tak dalej, już z tytułów poszczególnych rozdziałów dowiadujemy się rzeczy najistotniejszych.

Cała książka jest pozycją niezwykle wartościową w naszej skromnej literaturze niemcoznawczej. Wartość jej nie jest bynajmniej przemijająca, choć ma charakter reportażowy i to w dodatku oddający

stan sprzed kilku miesięcy. Wartość jej polega na umiejętnym pokazaniu nieśmiertelnych niejako cech miejskiego życia niemieckiego, powtarzających się niezmiennie tak samo, niezależnie od warunków politycznych. Dowiadujemy się o losach gospodarczej ekspansji niemieckiej („Dessauske Towarzystwo Odbudowy” i pierwsze powojenne targi lipskie), o życiu kulturalnym i naukowym (Drezno, Weimar, Getynga, Tybinga), o losach ludzi (np. ciekawa historia o Fryderyku Bischofie, wybitnym poecie śląskim, byłym intendentzie radia wrocławskiego, wykazującym w swej twórczości literackiej całkowitą zgodę z hitleryzmem a mimo to sprawującym dziś artystyczne kierownictwo zmgłośni radiowej w Baden-Baden), o zmianach, jakie musiały zajść w charakterze poszczególnych miast (niema już dolce far niente we Wiesbaden, — Norymberga symbol nowego świata — ale pomimo to, jak stwierdza autor, dla Norymberczyków ich miasto jest wciąż tylko jeszcze dawną Mekką hitleryzmu). Słowem cała książka w lekkim niepozabawionym dowcipu opowie o prowadzą nas po miastach dzisiejszych Niemiec i choć Wydawnictwo zastrzega się, że nie zamierza ona dać jakiegось ich baedekerowskiego obrazu, to dla niejednego polskiego czytelnika będzie ona wymyślnym lekkim współczesnym Baedekerem. Także po jej lekturze można się będzie odwołać do zdrowego „wycucia interesów naszego własnego państwa i narodu”, ponad to opis ten, jeśli chodzi o odbudowę gospodarczą, stanowi dla nas doskonałą materiał porównawczy o wartości niezwykle dydaktycznej.

Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu dało nam w obu książkach pozycje ważne i ciekawe, bez których niemcoznawstwo polskie nie mogło się obejść. Spodziewamy się, że sympatyczna redakcja Wydawnictwa, trzymająca straż nie tylko nad Odrą, ale także nad Łabą i nad Renem, po tej uciążliwej drodze wydawniczej kroczyć będzie dalej, czego jej życzy w Nowym Roku

wisz.

The New York Times.



Oto mapa podana przez dziennik nowojorski. Znajduje się na niej projekt nowej granicy polsko-niemieckiej, do czego dążą politycy niemieccy i część polityków anglosaskich. Projekt ten chciał by oderwać od Polski Szczecin, przepolować Kolobrzeg, oderwać całą Ziemię Lubuską, sam Wrocław nawet — (co do którego to miasta, jak podaje dziennik, waha się nawet najreaktywniejsi politycy anglosascy, czy je „oderwać od Polski”, gdyż „niema w nim już Niemców i za dużo tu już znać pracy polskiej”), a dalej Brzeg i cały Śląsk Dolny na lewo od Nysy kłodzkiej. Słusznie zaznacza dziennik nowojorski, że „taka rewizja granicy uczyniła by Odrę rzeką niemiecką, tę rzekę, która jest tak niezmiernie potrzebna Polsce, aby węgiel kopalń śląskich płynął spokojnie ku morzu”. Jest pewnym także — podaje dalej dziennik — że Polacy mocno by się temu przeciwstawili, ale bez sowieckiej pomocy protesty polskie mało by znaczyły.

Podczas gdy w głowach nienawistnych Polsce polityków legnie się projekt zamachu na całość granic Polski, w Polsce i na jej Ziemiach Odzyskanych ludzie pracują i wierzą w przyszłość, którą wykuwają sobie sami. W przyszłość szczęśliwą. (sz)

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. -- Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9 Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice: 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik” R 23218

Miłośnikom książek

polecamy

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ



Wydanie specjalne na czerpanym papierze, z drzeworytami prof. St. Jakubowskiego, z kolorową okładką K. Mroszczaka. Forma albumowa, oprawa kartonowa.

Wydawnictwo M. Kowalski, Katowice, ul. Pierackiego, 4.

Do nabycia w księgarniach.